

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok 2

Łódź, 11 lutego 1946 r.

Nr 5 (23)

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Bój o trzecią reformę

Trzecia kapitalna reforma na drodze do pełnej demokratyzacji naszego życia — po reformie rolnej i nacjonalizacji przemysłu — natknęła nagle na niespodziewane przeszkody.

Sprawa reformy naszego szkolnictwa stała się od pierwszych dni po wyzwoleniu kraju. Szkoła, jaką zbudowała sanacja w okresie swych rządów, była nieprzydatnym narzędziem dla realizacji tych celów, które postawiła przed sobą demokracja polska.

Stało przed nami zadanie stworzenia narzędzia, przy pomocy którego można by osiągnąć upowszechnienie oświaty, udostępnienie jej wszystkim obywatelom. Stało przed nami zadanie zmiany ustroju szkolnego oraz treści i ducha w tej szkole panującego. Zadanie było tym pilniejsze, że wznosiliśmy nasze szkolnictwo z gruzów, że tworzyć musieliśmy na nowo treść programową i wychowawczą szkoły polskiej, że wobec tego należało od razu oderwać się od starych, nieprzydatnych wzorów, przejść do nowej treści i nowych form organizacyjnych.

Zwolany w czerwcu ub. roku w Łodzi Zjazd Oświatowy opowiedział się jednoznacznie za reformą i jednocześnie wytyczył jej kierunek. 8-letnia szkoła obowiązkowa, obejmująca oprócz kursu przygotowawczego (przodokształt) część szkół średnich i średniej (gimnazjum) — nad nią zaś 4 (lub 3-letnia) szkoła (liceum), stanowiąca zakończenie szkolenia na poziomie średnim. Jedyną pozostawioną do rozstrzygnięcia sprawą była alternatywa 3 lub 4 lat przewidzianych na kształcenie na poziomie licealnym, przy czym większość uczestników skłaniała się ku 4-letniemu okresowi.

Nowa szkoła w ogólnym zadaniu społeczeństwa i sfer pedagogicznych winna być powszechna, jednolita, bezpłatna i publiczna, winna znieść dotychczasowe upośledzenie wsi, skodyfikowane i podniesione do godności programu w reformie z 1932 r. (jedrzewicowskiej).

Stworzenie jednakowej szkoły dla wsi i dla miasta, natychmiastowe znielenie tych barier, jakie przed dziećmi wiejskimi postawiła sama struktura szkoły sanacyjnej na drodze do szkoły średniej i wyższej, stało się naczelnym zadaniem demokracji polskiej, która już nie tylko jako program, ale jako pilna społeczna potrzeba, wysunęła konieczność szerokiego dopływu elementu robotniczego i chłopskiego do szkół średnich i wyższych.

Po wstępnych przygotowawczych krokach ku reformie, odrzuceniu podziału szkół powszechnych na stopnie organizacyjne, znieleniu klas wieloletnich i usunięciu (wprawdzie niezbyt jeszcze zdecydowanym) sztucznej przeprody między szkołą powszechną i średnią, jaką ustanowiła reforma z 1932 r. w postaci 7 klasy (przysłowiowej „czapki”), rozległy się dalsze głosy wzywające do powstrzymania dalszych prac nad przebudową szkolnictwa, odłożenia reformy na bliżej nieokreśloną przyszłość. Nie te głosy jednak stanowią tutaj niespodziankę. I ta reforma ma swoich przeciwników broniących zdobytego stanu posiadania. Niespodzianka, wręcz zaskoczeniem są motywy, mające przemawiać za odłożeniem reformy. Otóż odłożenia reformy wymagają rzekomo interesy wsi, interesy chłopstwa polskiego. Tak zostało to sformułowane przez poważnych ludzi, a poparte uchwałami stronnictwa, które wedle zapewnień reprezentuje i broni interesów chłopstwa polskiego.

Jedna z uchwał kongresu PSL mówi:

„W najbliższym czasie należy zrealizować nie tylko powszechność kształcenia na poziomie początkowym, ale stworzyć jednakową szkołę dla wsi i miasta. Z tego powodu dopiero po przekształceniu szkół niższych zorganizowanych na wyższe zorganizowane i po stworzeniu w ramach 7-letniego obowiązku szkolnego jednakowych pod względem wartości szkół na wsi i w mieście, przejść do prze-

budowania obowiązku szkolnego do lat 8-miu. Gdyby ten postulat zastosować natychmiast, miasto miałooby szkoły ośmioletnie, a wieś pozostawałaby przy 4-klasówkach o jednym nauczycielu”. (Gazeta Ludowa nr. 24).

Prawdą jest, że nie jesteśmy dziś jeszcze w stanie zbudować szkoły 8-letniej dla wszystkich dzieci w Polsce, brak nam do tego nauczycieli, budynków, pomocy szkolnych itd. Nie jesteśmy w stanie zrealizować 8-letniego obowiązku dla wszystkich dzieci z wielu innych powodów znacznie ogólniejszej natury.

Ponieważ zaś realizacja 8-letniej szkoły na większe trudności napotka na wsi wobec jej upośledzenia w stosunku do miasta przede wszystkim wnoszą: zacieśniając się wsi, a potem bez trudu zbudujemy jednakową szkołę dla wsi i miasta. A więc pozornie obrona interesów wsi, pozornie próba wyrównania zadawnionych krzywd chłopskich. Przyjrzyjmy się tym argumentom. U podstaw przytoczonego rozumowania leży twierdzenie, iż szkoły powszechne wyżej zorganizowane, mające 5 i więcej nauczycieli wystarczają żywotne soki szkolnictwa, uniemożliwiają podnoszenie na wyższy stopień organizacyjny szkół o jednym czy dwu nauczycielach. Ponieważ zaś prawie wszystkie szkoły miejskie są szkołami wysoko zorganizowanymi — przeto proszą wniosek, iż miasto krzywdzi wieś. Należy wstrzymać budowę szkół pełnych, a całą uwagę zwrócić na naprawienie krzywdy tych dzieci, które nie mogą wyjść poza program czterech (czy mniej nawet) klas, realizowanych przez jednego nauczyciela.

W rozumowaniu tym, poza wielu błędami, tkwi jedno poważne przeoczenie. Oto szkoła pełna (od 5 nauczycieli wzwyż) nie jest wyłącznie szkołą miejską. Szkół tych było w roku 1937/38 w miastach 2027, na wsi 2353. Wśród ogółu uczniów szkół pełnych 46,7% stanowili dzieci wiejskie. Jeśli zaś uwzględnimy, iż szkoły miejskie zwłaszcza w miastach mniejszych obsługiwały w pewnej mierze wieś, możemy przyjąć, że udział wsi równał się mniej więcej udziałowi miasta.

Przyczyna tego przeoczenia jest prawdopodobnie fakt, iż w tymże samym okresie prawie 100% dzieci miejskich, a tylko 27,2% ogółu dzieci wiejskich uczęszczało do szkół pełnych. Tu właśnie jest słup rozstrzygnięcia przy którym rozchodzi się o rozumowanie. Te cyfry ujawniają przywilej miasta, rodzą wniosek, iż szkoła pełna jest elitarna, należy przestać się o nią troszczyć, zatrzymać jej rozwój, a całą uwagę skupić na pokrzywdzonych 72,8% dzieci wiejskich.

Aby zdać sobie sprawę ze społecznych konsekwencji, jakie pociągnęłyby skutki taka polityka oświatowa uprzywilejowująca sobie, że od chwili wyzwolenia kraju dokonywane się rozbudowa szkolnictwa średniego i wyższego, które już dziś, mimo znacznie zmniejszonej liczby ludności, osiągnęło cyfry przedwojenne. Rozwój ten dokonywał się pod wpływem dwu bodźców — przebudowy ustroju kraju, która zniósł już w znacznej mierze społeczne i gospodarcze zapory, jakie stały przed masami pracującymi na drodze do wyższych stopni kształcenia. Drugim potrzebą była konieczność nieograniczonego wzrostu potrzeb kwalifikacyjnych kadr, spowodowana zarówno zniszczeniami wojennymi, koniecznością odbudowy oraz rozbudowy naszej gospodarki w nowych warunkach i na innych, szerszych podstawach.

Jeżeli rozbudowujące się szkolnictwo średnie i wyższe nie zostanie oparte o szeroką sieć wysoko zorganizowanych, pełnych szkół powszechnych, które otworzą do nich wrota dzieciom robotniczym i chłopskim, szkoły średnie zawisną w próżni, przybiorą znów charakter szkół „elitarnych”, obsługujących znów warstwę uprzywilejowaną, a odcinając od podstawowych mas narodu — chłopów i robotników. O ile na terenie miast ujemne

społeczne skutki nie byłyby tak dotkliwe — niewątpliwie miasto nie udaloby się już dzisiaj odebrać pełnej szkoły powszechnej — o tyle dla wsi następstwa te musiałyby być katastrofalne. Wieś zostałaby, czy ścisłej: pozostałaby nadal odcięta od szkoły średniej i wyższej, pogłębiała zostałaby jej upośledzenie w stosunku do miasta — i to wszystko pod filantropijną maską troski o te dzieci, które ślęczą na ławkach 1 czy 2-klasówek.

Jeżeli dotychczas zarówno masy robotnicze jak i chłopskie w jednakowym niemal stopniu odcięte były od kształcenia na szczeblu średnim i wyższym — dziś niewątpliwie udział robotników zwiększył się wydatnie i różniłby z każdym rokiem. Tym ostrzej stoi sprawa niedopuszczenia do dalszego zaoferowania wsi w tym wysięgu, tym pilniejsze jest zadanie budowy sieci pełnych szkół na wsi.

Koncepcja równomiernego podnoszenia od dołu stopnia organizacyjnego szkół wiejskich i budowania szkoły pełnej dopiero wtedy, kiedy będzie to możliwe dla wszystkich dzieci — jest koncepcją całym ostrzeżeniem uderzającą w interesy wsi, stwarzającą (raz jeszcze) usankcjonowane obniżenie szkoły wiejskiej na czas bliżej nie określony, koncepcją odrzucającą najżywotniejsze elementy polityki społecznej.

U podstaw tej koncepcji leży niewątpliwie najwłaściwiejsza teoria rozwoju społecznego. Można uznać słuszność rozumowania o tym, który może kupić zabawę tylko dla jednego z pięciorga dzieci, odkłada to do chwili, kiedy będzie mógł obdarzyć wszystkich. U podstaw rozumowania leżą tu założenia psychologiczne, liczenie się z subiektywnymi stronami psychicznymi. Ale żaden proces społeczny nie da się opierać na takich kryteriach. Nikt nie wstrzymuje się z budową szkoły czy fabryki tylko dla tego, że nie jest w stanie zbudować dziesięciu!

Utopijność koncepcji przeciwników reformy tkwi w najwłaściwiejszym upowszechnieniu — od pierwszej chwili, muszą otrzymać wszyscy. Wstrzymanie reformy szkolnej — aby dać możliwość wsi dogonienia miasta — bez równoczesnego zamknięcia na ten okres szkół średnich i wyższych, bez zatrzymania całego społecznego i gospodarczego rozwoju jest zabawą w odwracanie biegu strumienia polityki. Zabawą groźną dla tych, w imię interesów których chce się ją rzekomo uprawiać. Przeczochno, że szkoła jest przejawem życia społecznego, że rządzi tu te same prawa, jakie rządzą ogólnym rozwojem społeczeństwa. Rozwój tego dla takich czy innych, mniej lub więcej utopijnych zamyśleń powstrzymać się nie da. Można jednak przy pomocy jaskrawej czy szkodliwej polityki rozwój ten utrudniać i wykoślawiać.

Przeciwnicy reformy zarzucają, iż program reformy szkolnej mimo pozornie radykalnych i demokratycznych haseł, jest w istocie „dalszym ciągiem elitarnych polityk sanacyjnych, stwarzającej dwie miary: jedną dla miasta, drugą dla wsi”.

Stwierdźmy przy okazji tych mocnych słów, że dwie miary istnieją. Upośledzenie wsi i to nie tylko na odcinku oświaty, jest społeczną rzeczywistością, odziedziczoną przez demokratyczną Polskę. Upośledzenia tego nie spowodowała nawet sanacja — jest ono co najmniej o kilka wieków starsze. Sanacja tylko robiła wszystko, aby je utrzymać, utrudniała jego przezwyciężanie. I demokracja polska stawiając przed sobą jako jedno z naczelných zadań wyrównanie zaoferowania wsi, zaoferowania gospodarczego, technicznego, kulturalnego, nie znieść skutków wielowiekowego procesu w ciągu jednego czy dwu lat.

Istota zagadnienia leży w wytyczeniu słusznej i w najkrótszym czasie wiodącej do celu drogi. Tymczasem przeciwnicy reformy nie zauważali nawet, iż walczyć o równość jednakową szkołę dla wsi i dla miasta —

„STAWIAMY SOBIE ZA CEL PRACĘ I WALKĘ O ZISZCZENIE NAJPIĘKNIEJSZYCH MARZEŃ I NAJDALSZYCH NADZIEI CZŁOWIEKA. O ZISZCZENIE PRAWDY I REALNE, ABY NAWET CHRZĘŚCJANIE ZNALEZLI NA NASZEJ ZIEMI POCZĄTEK SWEGO NIEBA”.

Roger Garaudy

walczyć w istocie o jednakową szkołę dla wsi. Odrzucenie programu budowy szkół wyżej zorganizowanych na wsi do czasu równomiernego podniesienia poziomu wszystkich szkół wiejskich, to właśnie echa programu szkoły ludowej jednakowej dla wszystkich, to zatrzymanie (przynajmniej na dłuższy czas) wsi w wysięgu z miastem. Jednakową szkołę dla wszystkich dzieci chłopskich realizowały kapitalistyczne kraje zachodnie jeszcze w XIX w. a jej najlepszym i najbliższym przykładem jest pruska szkoła ludowa.

Na tym tle swoisty wymowę ma rzucane przez przeciwników reformy hasło budowy szkół średnich na wsi. Szkoły średnie, którym nie da się oparcia o przygotowywującą do niej i zwiążaną z nią organizacyjnie masową szkołę powszechną, to reminiscencja czasów Komisji Edukacyjnej, to przejmowanie postępowego w XVIII wieku programu budowy szkół dla biedniejszej szlachty, której nie stać na posyłanie synów do stolicy. Odnosi się to zresztą w pewnej mierze i do szkół średnich w mieście — skoro i w mieście i na wsi wstrzymuje się rozwój szkół powszechnych, a jednocześnie nie mówi się o zamknięciu (czy też o innych jakichś środkach regulacyjnych) gimnazjów i liceów — znaczy to, iż każe się tym szkołom żyć własnym życiem, reformować u siebie samodzielnie. Może w tym świetle nieco inaczej przedstawia się zarzut „elitarnych dążeń” pod adresem ośmienników reformy.

Wniosek z uwag powyższych narzuca się jeden: równoległe z podnoszeniem poziomu organizacyjnego szkół najniższych zorganizowanych na wsi, to znaczy jednocześnie ze znieleniem szkół o jednym nauczycielu, zwiększenie ilości szkół o 3 i 4 nauczycielach, musimy już dziś przystąpić do budowy na wsi sieci szkół pełnych wysoko zorganizowanych. Wysiłek w tym kierunku musi być wielki, choćby miał opóźnić akcję likwidacji jednoklasówek, akcję wyrównania poziomu od dołu. Jest to konieczność społeczna, jeśli chcemy aby masy chłopskie jak najszybciej i jak najliczniej doszły do wyższych szczebli kształcenia, aby chłopcy jako wykwalifikowani specjaliści wzięli udział w kierowaniu życiem społecznym i odbudową demokratycznego państwa.

Reforma szkolna, budowa szkoły ośmioletniej, stworzy nam masową szkołę, która strukturalnie organizacyjną i programowo zerwie ostatecznie z tradycją szkoły ludowej, pokutującą ciągle w naszej szkole powszechnej. Reforma szkolna, stworzenie szkoły polskiej nowych ram organizacyjnych i ustrojowych jest już dziś krzyżującą koniecznością. Inaczej w tym absurdu jest dalsze utrzymywanie 7-klasowej szkoły powszechnej, która w samej swej koncepcji sprzecznym jest z potrzebami współczesnych państw mas ludowych, szkoły, która w istocie niewiele wychodziła poza naukę czytania i pisanie. W najwyższym stopniu szkodliwe było by utrzymanie trzech niezależnych od siebie szczebli organizacyjnych i programowych: szkoły powszechnej, gimnazjum i Liceum. Utrzymanie tego stanu dezorganizuje pracę nad rozbudową sieci szkolnej, uniemożliwia nam ważne prace programowe w chwili, kiedy szkoły pracują bez programu i bez podjęcińców.

Cała koncepcja szkoły ośmioletniej, mającej upowszechnić wykształcenie na poziomie niższym średnim (resp. gimnazjalnym), koncepcja upowszechnienia szkoły średniej, wysunięta tak silnie na Zjeździe Oświatowym w Łodzi, jeśli nie ma się stać fikcją czy utopią, musi być realizowana stopniowo.

Jeśli zdołamy co roku zwiększyć choćby o 10% ilość dzieci kończących szkołę 8-letnią, jeśli o podobny odsetek zwiększać będziemy ilość dzieci chłopskich i robotniczych przechodzących do szkoły średniej — wykonamy stojące przed nami zadanie.

Ale nie wolno nam odkładać reformy ustroju szkolnego i nie wolno nam nie odróżniać wytycznych reformy i celów polityki oświatowej od ich realizacji. Reforma to środek, to usunięcie przeszkód i wytknięcie drogi po której rozwój szkolnictwa ma się potoczyć.

Odłożenie reformy w dzisiejszych warunkach wobec wielkich przemian w strukturze gospodarczej kraju, rozwoju przemysłu

i ożywienia miast, musiałoby, raz jeszcze podkreślamy, odbić się najsilniej na interesach wsi, musiałoby odsunąć wieś od ogólnych procesów zachodzących w kraju. Nikt chyba nie ludzi się, że zatrzyma wielkie dzieło odbudowy i rozbudowy gospodarczej kraju, nikt nie ludzi się, że wstrzyma żywiołowy pęd mas do oświaty, do zdobywania kwalifikacji, jakich to wielkie dzieło budowy nowej Polski wymaga. Tego, kto by od

uczestniczenia w tym procesie chciał powstrzymać wieś chłopów polskiego, sam chłop usunie z drogi.

Nie jest dziełem przypadku, że opór przeciwko reformie szkolnej przyszedł z tej samej strony, która tyle wnosząca zażaleń przeciwko dokonanej już reformie rolnej, która spacyfikowała i pozbawiła istotnego sensu usiłowania oddające we władanie narodu wielki i średni przemysł.

Trzy te bowiem reformy są nierozdzielnie ze sobą związanym fundamentem budującej się demokracji ludowej, oddają chłopu, robotnikowi i inteligentowi w niepodzielne władanie materialne i kulturalne dobra narodu. Reforma szkolna pozwoli wreszcie zasilić warstwę inteligentną świeżymi siłami czepnymi w masach ludowych, a tym samym ściśle wiąże ją z życiem, dążeniami i pracą mas robotniczych i chłopskich.

Władysław Błockowski

MIECZYSLAW WIONCZEK

Norymberga, w styczniu

W oczach Zachodu

PRZYKRE I PRAWDZIWE

Nie jest łatwo pisać o sprawach przykrych. A jednak moje ostatnie wędrówki poza krajem posmak mają gorzki i bolesny. I mimo że są to sprawy marginesowe, w stosunku do głównego celu wyprawy — spektaklu norymberskiego zasłoniły go zupełnie.

Dzień, w którym dojrzało we mnie stwierdzenie, że wielkiej deprecjacji uległy w oczach Zachodu pojęcia Polak i Polska w ciągu ostatnich miesięcy był przykrejszy od wielu trudnych dni czasów okupacji. Zwłaszcza, że stwierdzeniu tego faktu towarzyszy przeświadczenie, że przyczyną tego tkwią w nas samych i że słuszne niestety było, niemiłe dla nas brzmienie, stwierdzenie Winstona Churchilla — że Polacy, obdarzeni wszystkimi możliwymi cnotami popełniają i wszystkie możliwe błędy.

Wszystkie fakty i zjawiska, warunkujące tę deprecjację tylko pozornie pozostają bez związku z sobą. Kiedy ma się ich podwójny obraz — kiedy można widzieć je zarówno z perspektywy kraju, jak i z Zachodu — łatwo wykryć prawdziwe ich kulisy i motywy tej sprawy. I dopiero wtedy ogrom zbrodni politycznej, jaka jest podkopywanie zaufania świata do Polski, obciążający działająca w permanence „emigrację londyńską-włoską”, staje się zmysłowa dotykalna.

Spustoszenia są większe, niż można było się spodziewać, gdy patrzyło się do tej pory na to z perspektywy kraju. Do kraju docierają wieści o Paderbornach, poszczególne numery prasy Andersa i towarzyszy, czy relacje o specjalnie jaskrawych ich wystąpieniach. A są to tylko drobne wyniki całosci, poszczególne kamienie lawiny, która toczy się bezustannie, porywając ze sobą wciąż jeszcze zdezorientowane politycznie masy polskie na zachód od Łaby i wywołując zamierzone przez sprawców wrażenie „balkańskości” Polski i przeświadczenie u obserwujących out-siderów, że naród polski najzupełniej niedojrzały jest politycznie do suwerenności. Takich w każdym razie sądów od cudzoziemców, którzy znają nas i nasz kraj tylko z obserwacji Polaków na zachodzie i z prasy, żyłowej oficjeli przez ludzi z hotelu „Rubens”, usłyszeć można bez liku.

Fakt, że noszenie tu na zachodzie munduru polskiego korespondenta wojennego z kraju, stawia człowieka czasami w całkiem dwumacnych sytuacjach, nie jest przykrością tylko i jedynie osobistą. Zwłaszcza, że ludzie w polskich mundurach czy też — w kraju — bez nich ginęli uparcie na wszystkich frontach świata od dni klęsk nad Wartą do dni zwycięstw w Berlinie. I gdyby mierzone wszystko tylko miarą męstwa, powinniśmy być na ustach całego świata co najmniej przez całe pokolenie. I wolno było by nam wymagać samych superlatywów. A tymczasem zbyt często słyszy się o nas słowa pogardliwe. Słowa, które niekiedy przyjmować trzeba w milczeniu, bo jakkolwiek obiektywnie nie obciążają one nas, ludzi z obozu polskiej demokracji, to obciążają naród jako całość.

Działalność polityczno-propagandowa Andersa i Raczkiewicza, demoralizacja Polaków w Niemczech, odgłosy antysemityzmu w kraju, nadsluchiwanie pilnie przez opinię krajową anglosaskich, wreszcie zjawisko tzw. „emigracji psychicznej” — oto cztery elementy, których wynikiem jest depopularyzacja i deprecjacja imienia Polski w oczach Zachodu. Nie są to elementy równorzędne genetyczne, pomieszczone tu przyczyny ze skutkami, ale podstawą wszystkiego jest jedno — jest nią walka reakcyjnej emigracji i jej odpowiedników w kraju z dzisiejszą rzeczywistością społeczno — polityczną w Polsce. Walka w której używa ten obóz olbrzymiego arsenału środków i w której nie cofa się przed niczym. Do tragicznych pomyłek Andersa i towarzyszy należy to, że wszystkie ich gesty i machinacje czynione są dla czy w imię tego, aby o Polsce świat nie zapominał. Efekt jest taki, że do stereotypu Polaka, jakim operują cudzoziemcy, dołączają się coraz to nowe rysy ujemne. A oczywiście wiecie, że mówię o nas bez nas, niż przy nas. Bo rzadko kiedy, tak jak tutaj w Norymberdze jesteśmy pod ręką i możemy korygować, tłumaczyć, naprawiać.

„POWSTANIE STYCZNIOWE”

Nie znam ani pana Allena z prasy norymberskiej ani pana Pado z Paryża. Trudno jest tedy ustalić czy ich „rewelacje” z Polski, szczytowe ale nie jedyne, połączenie kłamstwa z ignorancją, pisane były na obywatelną, czy też były owocem inwencji własnej. Ale kilkutygodniowe obcowanie z trzysztu innymi dziennikarzami z całego świata pozwala stwierdzić, że nasi londyńscy i włoscy współpracownicy zrobili i robią wszystko, aby opinia całego świata pokrywała się z opinią dwóch wymienionych „asów”.

Bardzo niedowna temu przeczytałem w „Stars and Stripes”, dzienniku o wielkim nakładzie, przeznaczonym dla wojsk amerykańskich w Europie, a czytany od Berlina do Bordeaux i Syrakuz, że w styczniu wybuchnęła ma w Polsce powstanie. W dwa dni potem na mapce kuli ziemskiej, zamieszczonej w tym samym piśmie, z oznaczonymi punktami trwających jeszcze konfliktów zbrojnych, przysłowiowa już dziewczyna o blond lokach staczała walkę nad Wisłą z obrońcą indywiduum, które reprezentować miało „wojsko Żymierskiego”. Interpelowani przedstawiciele agencji, która podała te sensacje — obsługiwali także i Norymbergę — oświadczyli całkiem spokojnie, że informatorem był wyższy polski oficer z jednego z obozów wojskowych, „dobrze zorientowany” w stosunkach tam w Polsce.

Po tej historii przestałem się dziwić czemuśkolwiek: także i temu, że nazwano mnie gdzieś „Warsaw kossack” i temu, że kilku dziennikarzy amerykańskich wyrażało niepokój o mój los po powrocie do kraju, ponieważ siedziałem przy jednym stole z polskimi dziennikarzami z Londynu.

Obcowałem z tym przedstawicielem gatunku „nieprzejednanych” bardzo chętnie — z czystej ciekawości poznawczej. A poza tym otrzymywałem regularnie całą prasę emigracyjną, którą obkładał się jak chory kompresami. Zarówno obcowanie z „nieprzejednanym” jak i lektura jego prasy były bardzo instruktywne. Wyjaśnił mechanizm propagandy przeciw krajowi, wyjaśnił rezerwy wielu cudzoziemskich dziennikarzy wobec nas. Mechanizm był bardzo prosty — polegał na kolekcjonowaniu antypolskich i antyradzieckich wiadomości z prasy zagranicznej, kontaminowaniu ich z relacjami, nadchodzącymi tajnymi kanałami z kraju od osób równie dobrze poinformowanych, jak ów informator od powstania i podawaniu do ponownego użytku korespondentom. Wiadomości pierwotnie wątpliwe i ulamkowe, nabierały teraz barwy i rzetelności — dowiedzieć się można było, że 95 proc. fabryk łódzkich wywiezione w głąb Rosji i że cała wieś polska jęczy pod jarzmem osiemdziesięcioprocentowych kontyngentów, które w całości prawie spożywa natychmiast Armia Czerwona. Korespondenci, interesujący się sprawami wojskowymi, mieli do dyspozycji nowy tekst przysięgi w „wojsku Żymierskiego” ze zdaniem: „Przysięgam na werność Józefowi Stalinowi, naszemu wodzowi...” (Tekst podany przez organ Andersa „Orzeł Biały” przed kilku tygodniami), dla dziennikarzy — filatelistów była inna sensacja — znaczki polskie z sierpniem i młotem. Sklep „nieprzejednanych” zaopatrzony był i jest w towar różnoraki i zawsze świeży. Ma nad nami tę przewagę, że otwarty był już wówczas kiedy my od świata odcięci byliśmy żelazną kurtyną okupacji i że wielu zachodnich dziennikarzy należy do kategorii ludzi leniwych i niechętnie opuszczających znajome i zaprzyjaźnione źródła informacji.

„Nieprzejednany” tak jak inni poznani potem ludzie tego gatunku był tragicznym doktrynerem i katastrofistą. A niezależnie od zawartości politycznej i społecznej, głoszonej przez niego teorii, właściwie było mu najzupełniej wszystko jedno, co się dzieje w kraju i co się z krajem stanie do nowego „Victoria Day” — końca trzeciej wojny światowej. W jego wielki rachunek historyczny można było bez trudności wstawić dowolne liczby dalszych strat narodu. „I tak i tak — powtarzał często — będziemy po wszystkim narodem mniejszym od Cze-

chów! Czemu tak panu zależy na Wrocławiu i Szczecinie, ostatecznie wystarczy nam jakieś księstwo łowickie”.

Dla mego rozmówcy świat się skończył właściwie pierwszego września trzydziestego dziewiątego roku. Wszystko, co nastąpiło potem, to nieskoordynowane drgawki agonii. Ale ponieważ im „nieprzejednanym”, „Bóg powierzył honor Polaków”, więc trzeba — sądzi — zrobić wszystko, aby towarzyszące zgony okoliczności, były jak najbardziej wzniecone. Próby wytłumaczenia śmiertelnie choremu, że umiera tylko on, a świat będzie żył dalej, nie prowadziły do niczego. Chór był zgodnie jednogłośnie. Ileż u niego „nieprzejednanego” zjawiali się inni, obojętnie czy z bliska, z obozów wojskowych i cywilnych Bawarii i Nadrenii, czy z daleka z Anglii czy z Alp — sprowadzano linie polityczną do jednego wskazania naczelnego — zrobić wszystko, aby maksymalnie przyczynić się do wybuchu następnej wojny. Wszelkie chwytły uznawane za dozwolone. Bo jakkolwiek wyniku jej przewidzieć nie sposób, to da im szansę. Cena jej obojętna. Cenę zapłaci naród, dokładniej — kraj. A szansa ich „nieprzejednanych”, jest przecież równoznaczna z szansą Polski. Polska — to oni!

Toteż fabryka oszczerstw i oszustw na użytek świata pracuje dalej.

WALKA O DUSZE

Korespondent amerykański, z którym jechałem przez kraj polskich obozów: Bawarię i Turynię, zapytał mnie w pewnej chwili: — All those Poles in Germany, are they fascist? Nie, nieprawda, nie wszyscy są faszystami. Aha, więc u was tam w kraju rządzą komuniści, a to są demokraci? Nie, u nas w kraju nie rządzą komuniści. Był całkowicie zdezorientowany. Z wszystkich innych krajów Europy pozostali w Niemczech tylko ludzie, którzy są nie w porządku wobec własnego narodu. A więc faszysty bądź kolaboranci.

Mój towarzysz był jednym z inteligentniejszych reporterów amerykańskich i wprowadzenie go w sprawę nie trwało długo. Zwłaszcza, że operowałem językiem przykładów.

— Wychodzi tu pod Norymbergą w „Polish Military Center Langwasser” tygodnik „Pismo Żołnierza”. Kolportowane jest ono w całej Bawarii. Otóż tydzień temu umieszczono w nim dwustronny artykuł, oparty rzekomo na raportach członków kongresu amerykańskiego, którzy odwiedzili na jesieni Polskę. Przetłumacz Panu kilka zdań... Ludność polska głoduje, a przyczyną głodu jest ruina rolnictwa przez tzw. reformę rolną. Z tego, co chłop zbierze, musi 80 proc. oddać rządowi, a z reszty nie może się sam utrzymać... Stosunki polityczne są znacznie gorsze, aniżeli wszystko, co wiadomo. Władze sowieckie nie dopuściły do rozmowy kongresmanów z pewnymi politykami, których chcieli widzieć — z Grabkimi i z Rzymowskim... Stosunki religijne w Polsce są również opłakane jak stosunki polityczne... Ludzie boją się wysłać listy zagranicę, w obawie przed przesładowaniem, za to, że znają kogoś za granicą... Przed ludnością polską cenzura postarała się ukryć obecność misji amerykańskiej... Żadne z podanych tu zdań nie jest prawdziwe, ale gdyby Panu co tydzień serwowano taką porcję wiadomości z ojczyzny, to pan także nie śpieszyłby się do powrotu. Bo ja w żadnym wypadku.

Amę ykanin był zdziwiony nieco, po czym oświadczył, że ludzie, którzy to robią nie postępują jego zdaniem rozsądnie. Nie chciał mnie urazić ostrzejszym sądem o moich współrodakach. Byłem mu za to bardzo wdzięczny. A sam w najlepszym razie myśli teraz o Polakach, że to bardzo dziwny naród...

Ci cudzoziemcy, którzy stykają się z zachodnio — niemiecką Polonią bezpośrednio znacznie ostrzej czasami precyzują swe opinie. Przyjęty tego są natury obyczajowo kryminalnej raczej niż politycznej. I chociaż redaktorzy „Pisma Żołnierza” z Norymbergi przestępstw kryminalnych nie popełniają, jednak znaczną część winy zapiszemy na ich rachunek.

Niewielką pociechą jest znalezienie w prasie amerykańskiej (New York Times) z 10.12. wiadomości, że personalia sześciu milionów obywateli USA znajdują się w centralnej kartotece urzędu kryminalnego Stanów, kiedy równocześnie stwierdzić trzeba, że znakomita większość przestępstw między Łabą i Renem popełniają Polacy. Paderborn był osiągnięciem rekordowym, ale podobnych historii zdarza się tutaj wiele. W ciągu miesiąca siedemnaście przestępstw większego kalibru znalazło oddźwięk na łamach prasy anglosaskiej i miejscowej w Niemczech. Wszędzie występowało słowo — Polish albo Pole. Mniejsze historyjki notują tylko statystyki i pamięć żołnierza armii okupacyjnych, stykającego się z brudnymi, hałaśliwymi, awanturniczymi i fantastycznie przedsiębiorczymi indywiduami, które bardzo chętnie noszą na półwojskowych czy cywilnych ubraniach naszywki — Poland.

Dlaczego nie wracasz do domu? — to pierwsze pytanie podczas przesłuchania na posterunku Military Police w wypadku jakiegokolwiek kryminalnej awantury. Dlaczego nie wracasz do kraju? — to pytanie, zadawane podczas kontroli ulicznych i obław na dworcach, ulicach, w tramwajach miast Bawarii, Wirtembergii i Nadrenii. Odpowiedź umiem na pamięć — jest niedołężnym powtórzeniem wiadomości, jakie czytuje się w „Orle Białym” Andersa i „Dzienniku Żołnierza” Sosnkowskiego, powtórzeniem, do którego dodaje się twory własnego ubożego umysłu i plotki, zasłyszane w pociągu czy obozie.

Mit wielkiej emigracji politycznej, konstruowany właśnie na użytek zagranicy przemawia chwilami do żołnierza amerykańskiego czy francuskiego.

Oto w tej chwili zresztą „nieprzejednanym” chodzi. Roztrwoniony kapitał polityczny usiłują zastąpić osiągnięciem ujawnionymi sposobami wpływem na bezdomną, ogłupioną i ulegającą coraz większej demoralizacji zbiorowość byłych niewolników Fritzla Sauckla, która przecież jutro czy za kilka miesięcy odpłynie do kraju. Im później tym z większymi wykoślawieniami psychicznymi i z większym bagażem kryminalnym. Nie obchodzi ich nawet, że wyrośnie kiedyś nienawist do sprawców przedłużającego się pobytu na ziemi, gdzie się nie jest ani gospodarzem, ani okupantem, ani emigrantem. Gdzie się i socjalnie i psychicznie jest niczym. „Walka o duszę” — „displaced persons”, prowadzona przez Andersa i towarzyszy z tak wielkim nakładem sił w swej ostatecznej beznadziejności dziwnie przypomina ostatnią fazę walki o Rzeszę wielkoniemiecką. Jeśli już nie o miesiące, to chodzi w niej o tygodnie — własnego, prywatnego żywota zhakrutowanego wodza i jego palladynów. Rozmiar powstających przy tym spustoszeń, wszystko jedno jakiego charakteru jest im obojętne. Do zbrodni głupoty politycznej i wsteczności społecznej dochodzi jeszcze jedno przestępstwo. Ba świat się wcale nie kończy — i nie tylko wszystko zapisze świat na wspólny rachunek Polski, ale odziedziczymy nową porcję zdemoralizowanych obywateli — tym razem częściowo tylko z winy okupanta. Tak jak w samym kraju zbyt mało było pracy wychowawczej.

PYTANIE NAJDRAŻLIWSZE

Gdyby prowadzić statystykę pytań, jakie zadają cudzoziemcy polskiemu dziennikarzowi, to niewątpliwie na pierwszym miejscu znalazłoby się pytanie — czy to prawda, że w Polsce w dalszym ciągu istnieje antysemityzm? Nie jest przyjemne już to, że w pytaniu tym występuje zwrot „w dalszym ciągu”. Kiedy gdy obruszyłem się na to, odpowiedziano mi prosto — Nie może Pan zaprzeczyć, że w Polsce przedwojennej „wawę norymberskie” były bardzo szeroko pożywiane. Zaprzeczyć nie mogłem.

Nasi rodzimi antysemici, kiedy przed rokiem 1939 znajdowali w prasie zagranicznej zbyt wiele jak na ich gust wiadomości o swej „chwalebnej” działalności, traktowali to jako jeszcze jeden dowód jakiegokolwiek fantastycznej, międzynarodowej solidarności żydowskiej, jako dzieło popularyzowane przez Strechera i księdza Trzeciaka „żydowskiej między-

narodów! Gdyby rzeczywiście ona istniała, niewątpliwie ujawniłaby się w czasach kiedy kilka milionów europejskich Żydów zamieniano na popiół, który miał spełnić swą funkcję użyźniającą pola z niemiecką kapustą. Samobójstwo Szmula Zygielbojma w Londynie musiało rozwiązać opary nawet najsilniejszych złudzeń.

I wówczas, a tym bardziej dzisiaj motyw zainteresowania opinii zachodu wszelkimi antysemitami był inny i wyjaśnić go można zacytowaniem powiedzenia nieznane. go mi autora — ludzie dzielą się na antysemitów i demokratów. Kiedy dzisiaj w Norimberdze odsłania się ostatecznie kulisy hitlerowskiego antysemityzmu, który był szkołą „cnot bohaterów” faszystowskiej czy faszystującej się dobrowolnie Europy, tym ostrzej wydają się prawdziwość maksymy o antysemitach i demokratach. Jest ona równie powszechnie uznana i wyznawana we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach jak anglosaskie „time is money”.

— Tell us the truth about Polish Jews — mówiono mi wszędzie. A kiedy opowiadałem o pełnej poświęcenia pomocy społeczeństwu Żydom polskim w czasie okupacji, przerywano mi: — a jednak nawet dzisiaj. To jednak — było potwornie gorzkie. I było i jest potwornie kompromitujące. Na tle przedwojennych wydarzeń — nabierało swobodnego wydźwięku. Mogło bowiem świadczyć, że nie potrafiono w Polsce wyciągnąć nauki z moralnych i społecznych konsekwencji antysemityzmu, ujawnionych „czasach pogardy”.

Nie wiem czy łącznicy Andersa i Sosnkowskiego, przenikający przez zieloną granicę z instrukcjami i pieniędzmi dla „nieprzejednanych” w kraju, udzielają także błogosławieństwa i dodają moralnej otuchy ludziom, zajmującym się mordowaniem powracających z obozów Żydów. Ale gdyby tak było nie zdziwiłoby mnie to wcale. Raz, że droga od antysemityzmu Bieleckich i Doboszyńskich do „action directe” nigdy nie była daleka i trudna, dwa — że „nieprzejednani” wiedzą doskonale, że najłatwiejsza to droga do skompromitowania kraju w oczach Zachodu. A przecież w tej chwili o to przede wszystkim chodzi.

Dopóki rozmowy były czysto teoretyczne, zarzuty udawało się odpychać. Bo przecież rzeczywistość trudno mówić o spontaniczności i powszechności wystąpienia przeciw żydowskiemu „ostatniemu mohikanowi” w Polsce. I choć wiele trzeba było czasu, aby przekonać cudzoziemskiego dziennikarza o ich sporadyczności, nie było to rzeczą niemożliwą.

Szczątki niedowierzania pozostawały jednak nierozproszone. Kiedyś w końcu listopada bomba wybuchła. Były nią wiadomości o napływaniu coraz większej ilości Żydów z Polski do obozów dla „displaced persons”, na terenie południowo-zachodnich Niemiec.

Wymagać się od zbiorowej wyprawy do jednego z podmonachijskich obozów, dokąd splayali i splayały wszelakimi kanałami ludzie, podający podczas indagacji jako narodowość — „polish Jew”, nie było sposób.

Było ich kilkuset. Skąd? — z różnych części kraju, najczęściej przedwojenni mieszkańcy małych miasteczek. Gdzie byli za okupacji? — w kasetach, w lesie, w ukryciu. — Dlaczego wyjechali z kraju nielegalnie? — Tego nie sposób zamknąć w jednym zdaniu.

— Wróciłem z obozu latem — mówi czterdziestoletni felczer spod Krakowa — sam jak palec. W mieście nikogo z rodziny, sąsiadów, znajomych. Człowiek, który mieszkał w moim domu, który jadł przez pięć lat obiady na moim stole, nie ukrywał niezadowolona. Ja go też rozumiem. Ale czy miałem go przeproszać za to, że, przypadkiem żyje i że wracam na swoje śmieci. Chciałem zacząć życie od nowa. Mimo, że na cmentarzu. Ale to była męka, panie. Może i tamte straszne czasy jakoby by człowiek zapomniał. Ale wspomnienia to jeszcze nie najgorsze. Chodził pan po miasteczku w którego rynsztokach pan się bawił dzieckiem i czuje pan w sobie wrogię. To nie, że panu nikt nie mówi — parszywy żydzie! ale pan to czuje. Cztery i pół lat pan był niczym, szmatą na którą smażł patrzył jak parzącego kota, który może jeszcze trochę żyć, bo jakieś tam jeszcze myszy ma do łapania. I wyłaził pan z tego wszystkiego i czuje pan na sobie wrogię, tego oczy. Dlaczego?

— Czy ja wiem, dlaczego ludzie są źli i głupi. I dlaczego nie potrafia zrozumieć czyjeś nieszczęścia. Czemu mi zazdrościli? Skąd ja mogę wiedzieć... Pan rozumie teraz, że nie mogłem żyć wśród wrogów na cmentarzu. A tutaj to mam szansę. Może za miesiąc, może za rok. Mówią, że otworzą emigrację do Palestyny. Tu mi nikt niczego nie zazdrości, tutaj nie mam przyjaciół, ale nie mam wrogów. Pan rozumie...

Imi mnie filozofowali. Temu nawymyślał z jakiejś racji milicjant, innemu pobili siostrę w ogonku po kartkowy chleb. Jakas

starsza kobieta z Kieleckiego twierdziła, że zabito jej siostrzeńca, kiedy wracał z Radomia do domu.

Teraz siedzą wszyscy na pryczach baraków obozu dla cywilnych uchodźców, naładowanego do granic możliwości, i czekają... Może za miesiąc, może za rok otworzą emigrację do Palestyny... W każdym razie tu nie mają przyjaciół, ale nie mają i wrogów...

Mister Nürmberger, który cztery dni temu przyjechał na proces norimberski prosto z Nowego Yorku triumfował. Argumenty, jakimi odpowiadał dnia poprzedniego na jego wątpliwości i zarzuty rzeczywistości wyblakły, kiedy stało się w zatłoczonej barackowej izbie. Tell me why the Poles are fascists? Coż mogłem mu powiedzieć. Trzeba było wprowadzić indagującego w intymne szczegóły życia politycznego w kraju jeszcze przed wojną, narysować linie podziału, wskazać filiacje między sfaszystowaną młodzieżą endecji i ONR-u a dzisiejszymi bandami NSZ-u, który ubiera swe doraźne cele polityczne w szaty „gniewu ludu”.

— Czy Pan wie o co im właściwie chodzi — zapytał wreszcie. Nie trudno było mu odpowiedzieć. — Oto jeszcze jeden sposób dostarczania „świata” dowodów na to, że w kraju nie panuje się nad sytuacją, że „kraj” wrze. — Czy ci ludzie i ich mocodawcy nie zdają sobie sprawy, jak to — tu wyciągnął rękę ku emigrantom — wygląda w naszych oczach? Czy Pan wie, że w dzisiejszych Niemczech nie znajduje Pan śladu antysemityzmu, bo nawet jeśli gdzieś pozostał, to utajono go troskliwie? A Niemców uważamy wszyscy za głupi politycznie naród.

Po czym prawie dosłownie powtórzył słowa, raz już przeze mnie słyszane — wydaje mi się, że ci Polacy, którzy to inspirowali i czynili, nie postępują rozsądnie. Nie chciał mnie polskiego dziennikarza urazić.

EMIGRACJA PSYCHICZNA

Twarz młodego chłopca, obróconego do mnie profilem w zatłoczonym tramwaju Frankfurtu, wydała mi się dziwnie znajoma. Widywać ją musiałem nieraz. W tym samym sztafażu — w obramowaniu kołnierza mundurowego i furażerki. Najpewniej jakaś znajomość z czasów warszawskiego powstania — za młoda była na rok trzydziesty dziewięty. Wsiadałem przed giełdą zaraz za nim. I kiedy zeskakiwał lekko ze stopnia — wtedy zidentyfikowałem go ostatecznie. Nie, to nie było w powstaniu. To było później, na Podhalu, na kilka dni przed załamaniem się frontu niemieckiego na Słowacji. Tak, przychodził do Bukowiny, wieczorami, wraz z innymi młodymi partyzantami po cielecia i masło.

Pan też! — zdziwił się teraz radośnie. Kiedy, kiedy, gdzie Pan stoi? W Norym-

berdze. W „Military Center”? Nie, na procesie. Na procesie? — zdziwił się jeszcze bardziej. Co Pan tam robi?

Po dwóch moich zdaniach ochłodził, zaszłutował i zgał za rogiem. To był pierwszy. Potem spotkałem innych. W jego wieku i starszych. Jakiegoś studenta z Warszawy, dwóch czeladników szewskich, agronoma spod Bydgoszczy. Razem dziesięciu, może piętnastu ludzi. Kiedy z kraju? Tydzień temu, miesiąc, na jesieni. Po co? A panie, ho tam... Co tam? Nie czyta pan? Czytam, i co?

I znów muszę słuchać tych samych bredni, jakich rzeczywiście słyszy się i czyta dość. Ale tym razem z ust ludzi z kraju.

Trzy mogą być rodzaje emigracji: politycznej, socjalnej, ekonomicznej. Emigrantami politycznymi nie byli napewno, nie w każdym razie takiego z rozmów z tymi ludźmi nie wynikało. Żadne figury, żadni działacze. Przeciwnie, bezimienni obywatele. Emigracja socjalna? Wywłaszczeni ziemianie, czy fabrykanci bez fabryk, ale z dolarami? Nie, pieniędzmi żaden nie śmierzdział. Bezrobotni, w poszukiwaniu chleba? Ładnie się wybrali do zrujnowanych Niemiec. Nie, motywy ekonomiczne także nie wchodziły w grę. A więc, coż u diabła?!

Trzeba było przyrzeć się dokładniej temu co mówili. Nie relacjonowali nic konkretnego. Czy ich poszukiwano? Czy im ktoś coś złego w kraju uczynił? Nie, ale... Nie nowego usłyszeć nie było można. Brat, kuzynka, znajomy słyszał, opowiadali... że podobno w Krakowie... Że być może... Że lepiej... Że nigdy nie wiadomo... A co będzie, jak będzie wojna...

Widział pan na własne oczy? Nie, nie nie widział. Wszędzie osoby trzecie, informacje pośrednie. Mgła plotek, przypuszczeń, domysłów... I niewiadomo, skąd płynące wiadomości, że tu na Zachodzie Anglosasi bardzo chętnie przyjmują. Dokąd i po co? Nie potrafili odpowiedzieć. Co zamierzają ze sobą zrobić? Żeby wiedzieli...

Są rozczarowani i rozgoryczeni. Przypuszczali, myśleli, że... Amerykanie przyjęli ich chłodno. Jednemu nawet nawymyślano. Że czego sobie właściwie myślał ci Polacy! Jednych się odsyła do kraju, a inni z kraju przychodzą. Co to wszystko właściwie ma znaczyć? Z nikim nie ma takich kłopotów, jak z Polakami. Coż za naród! Wszyscy ludzie na świecie marzą o tym, żeby wreszcie być powołanym do siebie, w domu a tym się zachlewa wędrowni! I żeby chociaż można było z tych przybyszów wydusić, o co im chodzi.

Wtedy, kiedy z żalem w głosie opowiadano mi tę scenę, uświadomiłem sobie, że ci ludzie należą do nieznanego dotąd rodzaju

emigrantów. To są emigranci psychiczni, ludzie, którzy po sześciu latach, w których działało się tyle, że nie było czasu na wzruszenia i płotki, teraz kiedy czas trwogi mija ostatecznie, właśnie załamują się pod ich ciężarem. Bo przez tyle lat co moment coś spadało na człowieka, a teraz — nic. Wycekiwanie na coś złego, co — jak szepczą instruuowani czy nieświadomi — ma przyjść, nie jest łatwe. A kiedy zbyt się przedłuża zaczyna ciążyć tak nieznosnie, że człowiek wreszcie dezerceruje...

Zamierzony przez sprawców — fabrykantów nastroju — efekt zostaje osiągnięty. Do placówek amerykańskich czy angielskich przychodzą ludzie, którzy mówią wiele, mówią rzeczy zatrważające, a jednak nic z nich wyluskać naprawdę nie można. Coś w tym musi jednak być — myśli sobie niejeden członek armii okupacyjnej. Coś w tym na pewno jest — myśli sobie mieszkaniec obozu dla „displaced persons”, który właśnie wczoraj w ostatecznym rachunku powziął decyzję, że wróci do kraju. I znów postanawia zaczekać...

Coś w tym tkwi na pewno. I nawet nie trudno to rozwiódć, skoro można widzieć te sprawy z obu perspektyw — kraju i zachodu. Jest w tym zgrabna ręka tych samych ośrodków dyspozycyjnych, które nazwałbym łagodnie „nieprzejednanymi”, które działają także na terenie kraju mimo gorących zaprzeczeń „Tygodnika Powszechnego”, zaliczającego reakcję do rzędu twórców podobnych centaurem i syrenom. Do rzędu twórców nie istniejących, którymi straszy się w kraju niegrzeczne dzieci.

Przez niebo zachodnich Niemiec przebiega z wschodu na zachód i z zachodu w stronę kraju meteory, których ślad drogi ginie w oka mgnieniu. Wypatrzyć za nimi pilnie. Ktoś tam przedwczoraj przejechał z kraju w drogę do Włoch. Jakis szwaby, niespodziany kurier. Ktoś tam jedzie z Włoch na wschód. W tajemnicy. Incognito. Akeja przecież trwa.

Moral wynikający z rzeczy widzianych i słów słyszanych tu na Zachodzie jest nieskomplikowany. „Nieprzejednani” prowadzą walkę na wszystkich frontach. Prowadzą ją wszystkimi możliwymi sposobami. Tragiczne jest tylko to, że wydaje im się, tak jak wydaje się wykonawcom ich zleceń w kraju, że nikt za nimi się nie ukrywał. Poznanie efektów ich działalności prowadzi jednak nieodparcie do wniosku: że winni są nie tylko głupoty politycznej i wstecznicwa społecznego, ale i zbrodni świadomego kompromitowania narodu w oczach świata, co jest przestępstwem pierwszym i kardynalnym. I nic do wybaczenia.

Mieczysław Włoneczek

STANISŁAW STRUMPH WOJTKIEWICZ

Dramat na emigracji

Centralną postacią emigracji polskiej w latach 1939—1945 był niewątpliwie generał Władysław Sikorski, twórca polskiego rządu emigracyjnego i organizator Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Po tragicznej śmierci Sikorskiego w dniu 4 lipca r. 1943 stworzony przez niego mechanizm polityczno-wojskowy funkcjonował w dalszym ciągu, początkowo sterowany, mniej lub więcej umiejętnie, przez osobistość, które co prawda zaliczały się do najbliższego otoczenia generała, ale nie mogły być traktowane za gwiazdy pierwszej wielkości na politycznym niebie Londynu lub Waszyngtonu. W r. 1944 najpierw Siły Zbrojne, a następnie rządy emigracyjne stają się terenem szczególnie wyjątkowej agitacji, skierowanej przeciwko wszystkiemu, co polityczne i społecznie zdołał dać z siebie Sikorski. W ten sposób, nawet po zgonie, nie przestał być Sikorski dla emigracji figurą centralną — i pozostał nią do dziś dnia.

W potężnych atakach, którym Sikorski poddany był na emigracji za życia i po śmierci, sylwetka tego polityka i żołnierza urasta do rozmiarów, niezupełnie usprawiedliwionych realnymi osiągnięciami — tego meża stanu, który na terenie międzynarodowym często umiał wybierać drogi właściwe — tego polityka, który zapożyczył zrozumiął i potrzebę i nieuchronność rewolucji społecznej w Polsce — i tego generała, który — dając Siłom Zbrojnym nowoczesny sprzęt — nie widział konieczności zaopatrzenia swoich żołnierzy także i w nowoczesnych z ducha i wiedzy dowódców i przewodników. Oświeclony refleksami baterii sanitacyjnych i neosanacyjnych, ostrzeliwany tysiącami oskarżeń i oszczerstw, a wyidealizowany w kraju, był i jest Sikorski wyobraziony w jednym, a pomniejszony w innych swoich zaletach i wadach, osiągnięciach i błędach.

Spór o Sikorskiego zaczął się w r. 1939,

Może będzie to dla Kraju niespodzianką, że od pierwszych dni emigracji w niektórych, wpływowych nawet na obczyźnie kołach, do najbardziej pogardliwych przewisk należało napiętnowanie nazwą „sikorszczaka”. W miarę rosnącej popularności i znaczenia Sikorskiego na terenie międzynarodowym, wzmagala się przeciwko niemu akcja, mająca swe źródło główne wśród zwolenników powrotu do przedwojennego układu stosunków, a przede wszystkim — krzyżowego pochodu na Rosję. Jest jednak oczywiście nieporozumienie o skali komediowej, w tej rozprawie wstecznicwa z Sikorskim, jako rzekomym puklerzem lub chorągwią marksizmu.

Z drugiej strony można zaobserwować ciekawe zjawisko równoległe na terenie samej Polski. Mianowicie, te same elementy — nie nazwiemy ich społecznymi — które na Zachodzie bardzo bezwzględnie i nie licząc się ze środkami zwalczały Sikorskiego i wstępującego w te same ślady Mikołajczyka — dziś, w warunkach obecnych, najgorliwiej popierają wicepremiera, w nim — mam nadzieję niesłusznie — widząc ostatnią ostoję znikającego układu społecznego. A w legendach, zwykle źle ugruntowanych na niedostatecznym tutaj materiale faktycznym, a także na nielicznych, niedłubnych i tendencyjnych — relacjach z Zachodu, wyrosta znieczarna Sikorski — to jako dyktator lub demokrata, rusofil lub moskal, utajony mąż zaufania kapitalizmu lub nasz stronnik rewolucji, a najczęściej w postaci wszechmocnego wodza narodu, zabitego przez wrogię Polskę siły...

Kim był ten główny bohater teatru emigracyjnego — kimże był w stosunku do siebie samego i otoczenia, Polski i świata, tych wielu zadań, które sam sobie wyznaczał i trudności, które sam sobie stworzył, stosunków, zmiennych lub trwałych, które go zaskoczyły, lub z którymi musiał się liczyć?...

Ku „olow” był — ogromnie zaważył, bo działał, walczył i czuł. Wieg był przede wszystkim główną osobą dramatu, czasem tragikomedii nawet — tak bolesnej dla nas, pociesznej lub dziwnej dla innych...

Stosunek Sikorskiego do spraw wojny, sił zbrojnych i żołnierzy był nacechowany wielką pewnością siebie. Jak wiadomo, napisał on na długo przed r. 1939 książkę o „wojnie nowoczesnej”, przełożoną na język francuski, a następnie angielski. W porównaniu z innymi generałami polskimi widział co prawda Sikorski daleko jaśniej i wyraźniej rolę silnika i w ogólne techniki oraz ekonomii w zbliżającej się wojnie, ale nie nie zdradzało, aby w pełni lub choćby częściowo umiał przewidzieć zastosowane przez Niemców zmiany w taktyce działań. Pod tym względem znacznie wyprzedził Sikorskiego swoją pracą francuski autor wojskowy, również będący w nielaskie swojego sztabu, mianowicie de Gaulle. Co w istocie jeszcze bardziej upodobniało Sikorskiego, jako generała, do innych dowódców polskich, to pewne przecenianie sił zbrojnych — i sztabowców, jako czynników politycznych, a niedostateczny respekt dla czynników innych, mających charakter moralny, lub ogólnospołeczny¹⁾. Parokrotnie miałem okazję słyszeć z ust generała tezę, że o ostatecznym wyniku wojny dla Polski i o jej powojennych granicach i warunkach, zdecyduje „powojenny układ sił w Europie”, nie słyszałem jednak nigdy, aby generał przykładał jakąkolwiek po-

¹⁾ „...stwierdzić musimy, że polskie Siły Zbrojne były, są i będą do końca tej wojny głównym atutem polityki polskiej”. (Z przemówienia Sikorskiego na posiedzeniu Rady Narodowej 14 sierpnia 1942 r. w Londynie).

ważniejszą wagę do światowych ruchów socjalnych, lub do przemian, zachodzących w psychice społeczeństwa. Za siłę uważał — wojsko.

Wskutek tego, raczej ograniczonego, ujmowania wojny, nie przewidział generał Sikorski całej energii ludowej, z jaką narody sowiekie nie tylko że zatrzymują pochód Niemców, ale będą zdolne do przeniesienia działań na teren samej Rzeszy. Również nie brał generał w rachubę, jako czynnika politycznego, wciąż pogłębiającej się sympatii mas robotniczych Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych dla walczącego chłopca i robotnika rosyjskiego. Tymczasem, w miarę rozwoju tej gigantycznej wojny narodów — mało oczywiście, w zestawieniu z masami innych wojsk, a tym bardziej wobec potężnych czynników społeczno-moralnych — znaczenie naszych kilku dywizji, kilku okrętów wojennych i kilkunastu dywizjonów lotniczych. Sikorski tego nie rozumiał²⁾, czasem zaś rozumiał zapóźno.

Niedosć głęboka ocena elementów wojny łączącej się u Sikorskiego z cechą, którą już wymieniliśmy: był on gotów do podejmowania odpowiedzialności, nawet w najbardziej trudnych momentach, w przekonaniu — może i słusznym — że stosunkowo jeszcze najlepiej sprosta sytuacji. Od pierwszych dni września r. 1939 usiłuje uzyskać „rozmowę” z ówczesnym Naczelnym Wodzem, a następnie ściga go poprzez całą Polskę, doganiając dopiero na granicy rumuńskiej, dnia 17 września. Rzecz jasna, że rozmowa Sikorskiego z Rydzem, gdyby nawet doszła do skutku, mogła przynieść Sikorskiemu tylko gorzkie owoce klęski wrześniowej. W okresie tym pewien generał wysuwa projekt, wtedy już może nieaktualny, ale przecież jedynie zbawczy, w razie jego powodzenia³⁾. Autorem tej propozycji o szerszych aspektach nie jest jednak Sikorski. W tym czasie nie posiada jeszcze sam Sikorski żadnego wielkiego projektu — prócz zamiarów zastąpienia Rydza i przedłużenia samodzielnego polskiego oporu przeciw Niemcom o parę tygodni, czy nawet miesięcy. Sikorski — maż stanu — rozdził się powoli.

W nocy z dnia 17 na 18 września r. 1939, tuż około mostu pogranicznego między Kutami a Wyżnicą, gen. Sikorski powziął decyzję: oto poszczególnym oficerom daje rozkaz zameldowania się do niego w Paryżu, gdzie będzie organizował dalszy opór Polski.

Jak wiadomo, dochodzi w Francji do zorganizowania czterech dywizji piechoty, dwu brygad, jednej brygady zmechanizowanej, artylerii przeciwlotniczej, szeregu osobnych kompanii przeciwpancernych i zacząłków lotnictwa myśliwskiego. Ale tylko z największym trudem udaje się polskim okrętom wojennym, które przedostały się do Anglii, uzyskać od Sikorskiego niewielkie uzupełnienia dla rozwinięcia Polskiej Marynarki. Również w Anglii organizowane lotnictwo bombowe nie otrzymuje należytej opieki. Premier i Naczelnym Wódz wyprawia się raz jeden — dnia 14 listopada r. 1939 — na cztery dni do Anglii i Szkocji i bodaj że na tym kończy się całe zainteresowanie praktyczne terenem i sojusznikiem brytyjskim⁴⁾.

W chwili klęski francuskiej trzeba więc improwizować wszystko, zaczynając od ewakuacji, trzeba teraz dopiero, w ogniu dramatycznie rozwijających się wypadków rozpoczynać nawiązywanie kontaktów nawet z łącznikowymi oficerami brytyjskimi. Sikorski usiłuje naprawić fatalne zaniedbanie, zrozumiał, że jest wraz z wojskiem wydany przez Pétaina na łup Niemcom — i dnia 18 czerwca r. 1940 odlatuje na jeden dzień do Londynu, gdzie z Churchillem i Admiralicją improwizuje ewakuację tej części polskich sił w Francji, która znajduje się w pobliżu portów, lub może uciec na południe od Loire'y. Dwie polskie dywizje, uwikłane w osłonę korpusów francuskich w Lotaryngii i Alzacji są na zawsze stracone.

²⁾ „Wnosząc do obozu alianckiego nie tylko siłę realną, ale i opartą na niej inicjatywę, której rozmiary, jak i nasz wpływ na przebieg wojny, rosła, wraz ze zbliżaniem się momentu, w którym staniami na kontynencie, jesteśmy na słusznej drodze. Niecierpliwych zapewniam, że w Polsce będziemy wyłącznymi panami sytuacji. (Z przemówienia Sikorskiego na posiedzeniu Rady Narodowej 14 sierpnia 1942 r. w Londynie).

³⁾ Dnia 11 września 1939 r. w Lwowie gen. Lucjan Żeligowski proponował Sikorskiemu porozumienie się z Rosją. Projekt ten nie uzyskał poparcia ze strony innych doradców Sikorskiego, który dnia 13 września pojechał dalej, na poszukiwanie Rydza.

⁴⁾ Kompetentna, bo pełna samokrytyczności, ocena gen. Mariana Kukieła wobec autora: „Zemściło się na gen. Sikorskim przekonanie o dynamizmie narodu francuskiego i wiara jego w dowódców francuskich, w ich zachowanie się, kiedy „la Patrie est en danger... Zemściło się na nas zaufanie do takich przyjaciół, jak gen. Faury... Zemściło się, żeśmy nie nawiązali z czasami osobno ściślej współpracy z Wielką Brytanią...” (Notowana rozmowa, w kwietniu r. 1944).

Umowa wojskowa polsko-brytyjska była podpisana dopiero po ewakuacji ocalałej 1/4 części polskich sił do Wielkiej Brytanii — dnia 5 sierpnia r. 1940. Zwykły przegląd czynności Sikorskiego i jego współpracowników w ciągu pierwszych miesięcy pobytu ich w Anglii nie pozostawia żadnej wątpliwości, że nie przedtem w dziedzinie współpracy z Londynem nie zrobiono.

Dopiero po ugruntowaniu się na terenie brytyjskim Sikorski przeżywa okres działalności na ogół szczęśliwej. Stosunki z rządem brytyjskim i rządami innych państw, które, podobnie do polskiego, znalazły oparcie i przyjaźń Wielkiej Brytanii, układają mu się pomyślnie. Znacznie rozszerza on swoje horyzonty polityczne, a naukę, wyniesioną z błędów we Francji, przyjmuje głęboko do serca. Toteż, z chwilą wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, Sikorski od razu decyduje się na otwarcie furtki dla porozumienia z Rosją i dnia 30 lipca r. 1941 podpisuje układ polsko-radziecki, zawarty w Londynie po zwalczeniu i zlekceważeniu bardzo silnego oporu, który stawiany był przez prawnicze i sanacyjne czynniki polityczne i ukryte za nimi grupy oficerów, wychowanych w zoologicznej nienawiści do wszystkich, co rosyjskie. Umowa o organizacji wojska polskiego w Związku Radzieckim, zawarta dnia 14 sierpnia r. 1941 w Moskwie, była doniosłą, wojskową i polityczną, konsekwencją układu. Sikorski zdobył — po brytyjskim — drugi nader ważny teren działania.

Stać więc było wreszcie Sikorskiego na zasadnicze posunięcie w polskiej polityce zagranicznej i w polskiej strategii wojennej. Przewidywał on konieczność sporych postępów terytorialnych na rzecz Związku Radzieckiego, wzamian za oparcie polityczne i nowe granice na Zachodzie żądał od swoich podkomendnych lojalnego wykonywania obowiązków, wynikających z tego sojuszu⁵⁾.

Nie stać go było jednakże na dokładne i surowe dopilnowanie, aby tak ważna dla Polski sprawa, jak utrzymanie i rozwinięcie dobrych i ufnych stosunków z Rosją, nie została zmarnowana, przynajmniej na pewien okres czasu⁶⁾. Nie umiał twarde postawić na swoim.

Nieprzyjazne zachowanie się, a ostatecznie i wyjście z Rosji, kilku sformowanych tam dywizji polskich, wywołały wiele gorczy w Związku Radzieckim i leżały u podstaw późniejszego konfliktu. Tymczasem należało wszelkimi środkami dążyć do tego, aby raz rozpoczęta współpraca polityczna i wojskowa zamieniła się we współpracę wojenną, na polu walki. Nie wolno było dopuścić do utraty zaledwie odbudowanego i jeszcze bardzo wątłego zaufania. Wszystko było zależne od właściwego doboru wyższych dowódców⁷⁾, od wykonawców...

Sikorski nie umiał stworzyć sobie kadr oficerskich.

Dotykamy tutaj drugiej sprawy, jeszcze istotniejszej przy mierzeniu dramatycznych napięć, które szarpały polską emigrację. Gen. Sikorski męczył się współpracą z odtworzonymi z dawnego materiału sztabami i podkomendnymi, skarżył się na niefachowość, nieuczciwość i nielojalność wielu starszych oficerów⁸⁾, a także wiedział o tym dobrze, że prawie żaden z jego rozkazów nie jest wykonany dokładnie, w terminie i zgodnie z intencją. Zastępowanie jednych innymi — podobnymi oficerami — oczywiście nie pomagało ani sprawie organizacji wojska, ani jeszcze trudniejszej sprawie prowadzenia moralnego tego wojska. Nie zdobył się jednak Sikorski na stworzenie korpusu swoich oficerów polityczno-wychowawczych, a bez takiego narzędzia polityki nie mógł oczywiście mieć pożądanego rezultatu. Nie zdobył się również ani we Francji, ani w W. Brytanii na utworzenie nowego,

⁵⁾ „Nie życzę sobie żadnego moskalofilstwa, ale chcę lojalnego stosunku, jak do sojusznika... i tego proszę mi pilnować” (Sikorski do autora, wówczas szefa propagandy i oświaty Armii Polskiej w Rosji, dnia 12 grudnia r. 1941).

⁶⁾ W maju r. 1943 Sikorski, zapytany, jak zamierza rozwiązać konflikt polsko-rosyjski po zerwaniu stosunków przez rząd Związku Radzieckiego w dniu 26 kwietnia tegoż roku, odpowiadał autorowi: „Lecze na rozmowę z Marszałkiem Stalinem, z którym na pewno dojdziemy do porozumienia”.

⁷⁾ Dnia 27 marca r. 1942 gen. Wł. Anders autorowi, odjeżdżającemu z pierwszą ewakuacją, zapowiedział szybkie wyjście z Rosji z resztą wojska polskiego. W tym czasie gen. Sikorski liczył na bojową współpracę polsko-rosyjską, a Marszałek Stalin nie miał żadnej decyzji co do ewakuacji pozostawianych w Rosji trzech dywizji polskich, przeciwnie, liczył, że pójdą do walki, na zagrożone fronty sowieckie.

⁸⁾ „Dwudziestu czterdziestu przeważnie starszych oficerów oddam pod sąd, jak tylko opuszczymy Anglię...” (Gen. Sikorski do autora dn. 19 stycznia r. 1941).

odmłodzonego, wiernego sobie i bliższego ideałom demokratycznym korpusu dowódców młodszych i starszych. Tymczasem wystąpienia i mordcze pogroźki w stosunku do Sikorskiego były na porządku dziennym, tysiące oskarżeń i oszczerstw szerzono o nim w kasynach oficerskich, a zgon Sikorskiego wielu oficerów powitało z ulgą i radością. Kilkadziesiąt razy sam słyszałem ohydny dowcip: „Nie na darmo samolot nazywał się Liberator...”⁹⁾.

Tak więc legendarny niemal w Kraju Sikorski, choć bardzo popularny wśród szeregowych na wszystkich terenach organizowania oddziałów polskich, miał w korpusie oficerskim, szczególnie w starszym, licznie rozsianych trzaskających obcasami lojalności, wrogów — zawziętych, bezlitosnych, nieprzebierających w środkach dla skompromitowania osoby i polityki Naczelnego Wodza.

Pierwszą wielką akcją konspiracyjną przeciw Sikorskiemu uruchomił w Rumunii płk. Wenda, działając wśród oficerów, kierujących się do Francji. Drugiej takiej poważniejszej akcji patronował we Francji gen. Dąb-Biernacki, inspirowany zresztą przez niejakiego Ryszarda Wraże (dziś podporę propagandy Andersa), a później skazany przez sąd generalski w Wielkiej Brytanii na rok twierdzy za patronowanie buntowi przeciw Sikorskiemu. Trzecią buntowniczą działalność rozwinęło w sztabie Andersa: tutaj program był najbardziej prosty...

— Sikorskiego ściągnąć do nas, będzie tak śpiewał, jak my zagramy. W Polsce powiesi się ze sto tysięcy, resztę weźmiemy za mordę — i zrobimy porządek...

Jeżeli dodać, iż powszechnie szerzono przeciw Sikorskiemu zarzuty, że: był na żołdzie — raz Austrii, potem — Francji, jest narzędziem żydów i masonów, ukradł na Polesiu meble i skórę niedźwiedzia (sic!), oraz sprzedał Polskę — to można ocenić dopiero tę gehennę oszczerstw i potwarzy, jaką ma do przejścia u nas każdy mąż stanu, a jakiej nie ominął i Sikorski, człowiek i polityk o niewątpliwie szerokich horyzontach i dobrej woli.

Nienawiść do Sikorskiego szerzono na długo przed tą chwilą, kiedy ujawniła się gotowość generała do zawarcia porozumienia z ZSRR. Był on od początku śmiertelnym wrogiem przedstawicieli regimenu, który z Polski uszedł. A szczególnym „zbiegem okoliczności” na stanowiska kluczowe w dowództwach wychodzili na emigracji przeważnie wybitni wojskowi przedstawiciele właśnie tego regimenu. Sikorski — sam oficer zawodowy — traktował to jako rzecz normalną. Trudno mi tutaj utrzymać się w granicach chłodnego kronikarza: Sikorski, w jego ryckim, ojcowiskim stosunku do otaczającej go wilczej mafi, był i wrzuszający i wielki, śmiesznie słaby i niemądry zarazem...

— Gryzą mi tydki — śmiał się z gorczy — ale przestaną, kiedy mi się uda wszystko, co zamierzam...

— Czy pozwolą mi dokończyć mojego dzieła? — pytał niemal z obawą w r. 1941

— Bóg patrzy w moje serce... — wyrzekł kiedyś w wielkim uniesieniu, jakby pragnąc przekonać, udobruchać, wrzucić robaczywe serca, bijące pod pozornie lojalnymi mundurami — nienawiścią i zdradą...

Przed jedynym organem kontroli społecznej, jaką była londyńska Rada Narodowa, Sikorski bronił czasem swoich sztabowców, jednak widział się coraz głębiej w sieci, którą sam upłótł na siebie. Nie zdołał natężyć cyników i zaprzysiężonych przeciwników ani politycznie ani moralnie, przeciwnie — sam musiał padać ofiarą coraz poważniejszych mistyfikacji, konstruowanych przez sztab. W ten sposób zdołano nastawić Sikorskiego przeciwko zasadniczym zmianom w organizacji wojska i szeregowi wartościowych współpracowników, nie raz — przeciwko najlepszym fachowcom, albo przyjaźniom osobistym i politycznym Sikorskiego. Co najgorsze jednak — na podstawie fałszowanych, a być może po prostu niemieckich, danych — zaskakiwano wciąż Sikorskiego też, że bliska klęska Rosji, a nawet i zachodnich aliantów jest nieunikniona¹⁰⁾. Było to potrzebne najwidoczniej do zahamowania powoli dojrzewających w Sikorskim politycznych — międzynarodowych i wewnętrzno-pol-

⁹⁾ Liberator, czyli oswobodziciel, nazwa samolotu, w którym zginął Sikorski. W jednym z kasyn oficerskich major X wykrzyknął głośno do obecnych: „Co ca szczęście”, później tłumaczył, że miał na myśli: „Co za szczęście... że mamy jeszcze Sosnkowskiego i Andersa”. Wyjaśnienie to wywołało homeryckie wybuchy śmiechu, cynizm był jawny, zgon Sikorskiego powitano w sferach wyższych oficerów z ulgą.

¹⁰⁾ W październiku 1942, na parę tygodni przed zwycięskim z Niemcami angielskim pod El-Alamein, szef II Głównego Sztabu w Londynie oświadczył autorowi, że Kair i Aleksandria lada dzień padną pod... ofensywą Rommela.

skich — tendencji do wyjścia na spotkanie nowych czasów i nowego świata¹¹⁾. Rachowano wciąż — na Niemcy...

Ostatnia podróż Sikorskiego była przedsięwzięciem głównie dla uspokojenia stosunków w armii Andersa na Środkowym Wschodzie. W tym czasie Anders usunął już w ten czy inny sposób ze swego terenu lojalnych dla Sikorskiego oficerów i generałów (m.in. Paszkewicza), wysłannicy sztabu londyńskiego byli przez Andersa sabotowani, albo zjednywani argumentacją i kaptowaniem obietnicami łask, a stosunek do polityki rządu londyńskiego wyraził się choćby np. w zakazie słuchania w obozach radia polskiego z Londynu. Mnóstwo żołnierzy różnych stopni karano sądownie i dyscyplinarnie: za zwykłą korespondencję z przywódcami ludowymi albo socjalistycznymi, za poglądy społeczne, nawet jeszcze bardzo dalekie od komunizmu, za brak zachwytu dla urzędowego katechizmu faszystowskiego obowiązującego w Korpusie Andersa, który od zapewnienia najgorętszej lojalności dla Naczelnego Wodza i pełnego „poparcia linii, po której on nas prowadzi”¹²⁾, przeszedł do podziemnej a później i do jawnej kontrakcji, zręcznie prowadzonej przy pomocy legionistów, korporantów i obalamuconej młodzieży oficerskiej.

Celem Andersa było nie co innego, jak zdobycie władzy absolutnej — wojskowej i politycznej — nad całym wychodźstwem polskim. W roku 1943 w otoczeniu Andersa był już „gotowy” cały gabinet polski, „wierni” pułki otrzymały specjalną obsadę, a nawet byli młodzi oficerowie wyznaczeni na... zamachowców, gdyby trzeba było Sikorskiego zamordować¹³⁾. Po objęciu władzy Anders, naturalnie, powróciłby powoli do zagranicznej polityki... Sikorskiego, jako jedynie możliwej. Argumentowano w Korpusie, że Rosja chętnie porozumie się z dyktatorem narodowym — Andersem, niż z Sikorskim „międzynarodowym agentem żydostwa, finansów i radykalizmu”¹⁴⁾. Trzeba tu dodać, że pewne wojskowe osobistości brytyjskie sprzyjały zamysłom Andersa, będąc zresztą w niezgodzie z oficjalnym nurtem Foreign Office, ale mając za to jakieś swoje od powiedniki w War Office. Czy chciano szachować Sikorskiego? Rosję? Demokrację?

Któż zgłębi tajniki chytrego Albionu!

Sikorski dłużej nie dawał wiary informacjom, które otrzymywał od swoich urzędników cywilnych na Środkowym Wschodzie i drogą prywatną od oddanych sobie żołnierzy. Oficjalnych meldunków na biurko Nacz. Wodza nie było i nie mogło być, ponieważ w sztabie londyńskim chowano do szuflad wszelkie niepokojące raporty, ukrywając przed Sikorskim prawdę, bagatelizując alarmy, jeśli jakoś powstawały. „Wykaszczanie służbowo” każdego który by zawczasu mógł ją wyświecić¹⁵⁾. Wreszcie jednak atmosfera stała się groźna i duszna — nadeszły w tej mierze zbyt już liczne dane polskie tudzież — nareszcie — angielskie¹⁶⁾. Naczelnym Wódz zdecydował odbyć inspekcję II Korpusu, osobiście zetknąć się z oficerami i szeregowymi i — gdzie trzeba perswazja — gdzie indziej mocną ręką — doprowadzić do uspokojenia umysłów. Rzecz jasna, że nie chodziło o lojalną szarą, dobrą brack żołnierską, ale o oficerstwo, odpowiednio urabiane przez najbliższe otoczenie Andersa, jego prasę i jego własne „SS”. Sikorski był pewien, że z całą łatwością zażegna fermenty: pogodnie a dobrotliwie lekceważył „alą „dziecinadę oficerską”, oraz andersowskie „sny o

¹¹⁾ „Wojna obecna jest głębokim przewrotem powszechnym i ewolucją. Z krwi zaś i znoju rodzi się nowy świat, nowa Polska” (z ostatniej mowy Sikorskiego — do juma-ków w Palestynie, w czerwcu r. 1943).

¹²⁾ z przemówienia Andersa przez radio w Rosji na Nowy Rok 1942.

¹³⁾ Jeden z takich oficerów załamał się i wyjawiał prawdę, zdoławszy wymknąć się spod terroru młodoficerskiej konspiracji Andersa w r. 1943.

¹⁴⁾ pierwszy raz słyszałem taką tezę od b. ministra Grabowskiego w r. 1942 w Palestynie, później szerzona ją w Londynie w ko-lach sanacyjnych.

¹⁵⁾ autor, jako oficer prasowy, próbował wysłać drogą służbową depeszę z Persji do Sikorskiego, w kwietniu 1942, wyrażając w tej depeszy niepokój, czy Anders rozumie politykę (rosyjską) Naczelnego Wodza i że przez to może szuka własnych dróg. Depesza nie była przez gen. Zajaczkę skierowana do Sikorskiego, lecz do... Andersa. W wyniku autor był zawieszony w czynnościach i oddany pod sąd, przy tym upiornie wspomniano mu od-lot do Anglii aż do chwili wyprowadzenia przez Andersa reszty wojsk polskich z ZSRR.

¹⁶⁾ Po odlocie Sikorskiego na Środkowy Wschód jeden z szefów angielskiego War Office oświadcza autorowi, że ostatnie wiadomości o stanie umysłów w wojskach polskich na Środkowym Wschodzie były bardzo alarmujące.

wiedze". W tym czasie Anders ostentacyjnie ułk podkładał swój powrót na łono kościoła katolickiego...

Sikorski istotnie bez żadnego trudu stawiał długi sztywny przeciwko niemu dyktando, nie sobie nie robiąc z tych licznych przygotowań o typie zamachowym, które pojmowano¹⁷⁾. Większość oficerów usunęła się z akcji, masy żołnierskie szalały entuzjazmem dla Naczelnego Wodza, ewentualni zamachowcy poczuli się wobec Sikorskiego niepewnie, a sam Anders utracił kontenans, tupet i teraz wobec Sikorskiego niemal pokorny¹⁸⁾. Naczelną Wódz opuszczał Środkowy Wschód, zupełnie już spokojny o dalsze losy moralne armii, zdecydowany zaraz po powrocie do Londynu odwiedzić Andersa, a także najbardziej gwałtownych młodych oficerów, przeznacząc ich wszystkich na stanowiska administracyjne i wojskowo-dyplomatyczne¹⁹⁾.

Do żadnych zmian jednak nie doszło, gdyż Sikorski sam zginął.

Tragizm Sikorskiego — a jednocześnie tragedia całej Polski — były od razu zrozumiałe i podkreślone z całą siłą przez publicystykę wtyjską²⁰⁾. Nie wiedział jednakże świat o głębokiej satysfakcji, czasem nawet prawdziwym entuzjazmie, którymi śmierć Naczelnego Wodza powitana była w wielu polskich środowiskach i sztabach przez — niestety — znanych oficerów polskich, którzy długi czas uili się przymusowymi podkomendnymi Sikorskiego, a teraz w Andersie lub Sosnkowskim ukali swoich prawdziwych nowych „bogów”. W niektórych wypadkach radości swojej z powodu śmierci Sikorskiego nie umieli czy nie chcieli ukrywać oficerowie przed szeregowymi²¹⁾.

Trudno o większą tragedię, niż omroczoną zuchami plugawymi...

Sikorski był praktykującym katolikiem — mówiano go o służeńie wszystkim „diabłom” — Wierzył w ducha i geniusz Francji — uwodzone, że jest na jej zółdzie. Ujął sobie głoszących mężów stanu umiarkowaną demokracją, oraz szczerością, rozumem i olą walki — uznano, że służy żydostwu antypaskiemu. Pragnął zgody polsko-rosyjskiej umiętnie do niej doprowadzić, żeby spotkać z zarzutami zdrady, albo niedoświata dyomatycznego i sabotażem tej unioy. Kochał nierzcy — określano to jako demagogię. arcił — jakże łagodnie — oficerów za opilwo, pychę, niedbałość o żołnierza i narowy buntów — nazywało się to uciskiem i zemą. Jeśli popełniał błędy — to spadały one i niego lawina oskarżeń zwykle ze strony ch, którzy byli współautorami omyłek, czego suflerami i podgaczami.

Największy błąd Sikorskiego polegał na jenuumiejętności wyzwolenia się ze sfery adycji i przyzwyczaję, mentalnych powiań i sztywnej hierarchii zawodowego przedojennego oficerstwa. Padał ofiarą — za próy wyłamania się z kasty.

Nie chcę dotykać tutaj momentów biograficznych, nieznanych mi dokładnie — a więc tej sprawy przynależności do tak zwanego frontu Morges²²⁾, jak również starych zwią-

*) Dwa „najwierniejsze” pułki otrzymały tre ładunki i rozkaz ostrego pogotowia, a iskownicy byli rozstawieni „Niepewny” pułk stał zawczasu odesłany, dalej od namiotów tabu.

*) Według licznych świadków, od Sikorskiego była tak silna powaga i wyrozumiałość meża stanu i dowódcy, że samym spiswem cała afera wydawała się niepoważna. zekiwali oni na sygnał Andersa, który ów od nich spodziewał się spontanicznego wstąpienia, tak jak było ułożone. W całości roich rocznych wysiłków do obalenia i zapienia Sikorskiego Anders prawie nigdy e angażował się osobiście, montując akcję zy pomocy oddanych sobie oficerów, na ranek i ewentualną odpowiedzialność tych tatnich.

*) Według listów prywatnych z Kairu — wiadzenie Sikorskiego przed odlotem.

*) „The Times” pisał: „ze względów poliicznych jak i wojskowych niebezpieczny wydek, który przyniósł mu śmierć... jest bezanizną katastrofą. Z wizytą jego do silnej mii polskiej i do dowództwa sprzymierzoeh na Środkowym Wschodzie związane bywielkie nadzieje. W ciągu tej wizyty koystał z każdej okazji dla wyjaśnienia swej polityki szukania i utrzymania zgodnego z morem porozumienia ze Związkiem Sowieim”.

*) „Yorkshire Post”, organ Edena, pisał: „Pozó, którą przypłacił życiem, podjął w służe dla zasady pojednania”.

W sferach politycznych Londynu sądzono e bez podstaw, że podczas pobytu na Środkowym Wschodzie gen. Sikorski nie tylko odzie inspekcję oddziałów polskich, ale także kona próby nawiązania nowego kontaktu Związkiem Radzieckim.

*) Między innymi mówili o tym autorowi wielkim ubolewaniem trzech szeregowi artyzcyści dywizji pancerniej podczas wycieczdo Londynu jesienią r. 1943.

W „enkaenowskich”. Będzie to zadaniem ograłów i historyków, mnie natomiast chon o to, aby dramatyczność centralnej posta-

na polskiej emigracji została uchwycona na świeżo, z zachowaniem pewnych warunków scenicznych i formalnych.

Rzucony przez splot okoliczności i stosunków na wielką obrotową scenę wojny i polityki — Sikorski tworzył i grał swój dramat w taki sposób, że świat uznał go za najbardziej typowego Polaka²³⁾. Więc mniej są istotne genealogie polityczne i kulisy, a bardziej ważne: bezpośrednia wymowa faktów i sytuacji, rysy charakteru i kierunek dążeń, nawet charakterystycja i — oczywiście — rodzaj winowini.

Wobec rodaków uwikłany w tradycyjne formy i sentymentalną spuściznę przed-i-pomajowego średniowiecza, był Sikorski wobec obcych — nawet w swojej improwizacji — już na poziomie obowiązującej w dyplomacji międzynarodowej dialektyki. Tracąc stopniowo wspólny język z zastępnym w prymitywie polskim otoczeniem — szybko zyskiwał w stosunkach z najteższymi głowami świata poziom, styl i polot mistrza wielkich realnych szachownic. Był niedaleki celu — kiedy zginął.

I spełnił jeden z głównych warunków dramatu: wraz z finałem tragedii incipit. Ze śmiercią Sikorskiego wiąże się początek nowej tragedii emigracyjnej.

W licznych dociekaniach na temat przyczyn katastrofy gibraltarskiej brzmią pytania głów-

*) Churchill: „Był on symbolem i ucieleśnieniem tego ducha, który niósł naród polski poprzez stulecia nieszczęść i który nie da się złamać...”

JAN SZCZEPAŃSKI

Humanizm czy człowiek? *)

HISTORYCZNE KONCEPCJE HUMANIZMU

Jedno zdanie Protagorasa zawiera wyznanie wiary, podstawowe założenie, program i wszystkie punkty wątpliwe humanizmu. „Wszystkich rzeczy miarą jest człowiek”. Zawiera wyznanie wiary w człowieka jako największą wartość, przeciwstawienie porządku ludzkiego porządkowi nadnaturalnemu czy nadludzkiemu, wyznanie wiary w ludzki sens i cel życia.

Jest podstawowym założeniem filozofii, której celem jest człowiek jako zadanie poznawcze i jako kryterium poznania jednocześnie.

Z niego wynika program życia, naczelną dyrektywa wszelkiej działalności i ono jest równocześnie podstawą ludzkiej moralności.

I w końcu — w tym jednym zdaniu kryje się olbrzymie pole zagadnień spornych i możliwości interpretacyjnych, wyrastających z pierwszego pytania podstawowego: czym jest człowiek?

Odpowiedź na to pytanie przesądza wszelki rodzaj humanizmu, co więcej przesądza możliwość stworzenia filozofii humanistycznej. Człowiek w koncepcji starożytnej, czy człowiek w tradycji biblijnej, powiedzmy inaczej: starotestamentowej przyjętej i zmodyfikowanej przez chrześcijaństwo, czy człowiek w koncepcji genetycznej wytworzonej przez nowoczesne nauki przyrodnicze — podstawiony do formuły Protagorasa da nam za każdym razem inny typ doktryny. Niemniej jednak sądzimy — że, przyjmując te trzy podstawowe w historii Europy koncepcje człowieka wraz z ich możliwymi odmianami, o humanizmie sensu strictissimo mówić możemy tylko wtedy, jeśli człowieka ujmujemy w koncepcji greckiej, wzgl. jej odmianach jakie przyniósł renesans i nowożytna filozofia. Humanizmem bowiem w tym sensie nazywamy pogląd na świat czy typ filozofii, wyrażający „dążność myśli filozoficznej do podporządkowania człowiekowi wszystkich absolutów, prawdy, piękna, dobra w jakiegokolwiek objawiają się one postaci”. (F. Znaniecki „Humanizm i poznanie” W-wa 1912). To jest podstawowa koncepcja humanizmu, którą nazywam historyczną wzgl. klasyczną. Pierwszą jej postacią była filozofia Protagorasa. Cytowane w wstępie zdanie Protagorasa jest nie tylko naczelnym założeniem humanizmu, jest również określeniem istoty człowieka, jest jądrem starożytnej koncepcji człowieka.

Według tej koncepcji człowiek jest to istota rozumna tzn. posiadająca rozum (logos) tj. zdolność ujmowania istoty rze-

ne: czy to był przypadek, czy sabotaż, a jeśli sabotaż — to czy? Nie chodzi oczywiście o wersję oficjalną — bo stoi ona bardzo nisko na gieldzie zaufania w po-goebbelsowskiej epoce propagandowej, ale o tak zwane „pewne” wiadomości prywatne. Co do mnie — nie byłem zwolennikiem teorii przypadku, zanim mechanicy amerykańscy nie wyjaśnili mi pewnych szczegółów konstrukcyjnych „Liberatora”. Z wyjaśnień tych może wynikać, że Sikorski zginął przez fatalny zbieg okoliczności²⁴⁾. Nie ma jednak pewności, że tak istotnie było.

Trzeba natomiast koniecznie stwierdzić, że o przypadkowej lub planowanej śmierci Sikorskiego głośno marzyli tylko pewnego typu Polacy, a jeszcze ważniejsze jest to, że już na pewien czas przed zgonem wszystkie materialne osiągnięcia Sikorskiego były w istocie przez samych Polaków emigracyjnych bądź zniszczone, bądź podminowane. Tak np. było z ugodą polsko-rosyjską z r. 1941, nie inaczej z przyjaźnią polsko-angielską — zmontowaną przez Sikorskiego, a mocno nadwyrężoną w

*) Jakoby przypadkowo lecącym drugim pilotem był lotnik angielski, który nie znał „Liberatora” i zablokował stery, używając nieodpowiedniej dźwigni, zmylony podobieństwem do urządzeń w bombowcu angielskim.

W parę tygodni po wypadku część prasy angielskiej zamieściła petitowe notatki o ujęciu w Gibraltarze na lotnisku dwu Hiszpanów, winnych sabotażu.

opinii brytyjskiej przez wybryki polityczne i obyczajowe sporej części tak zw. inteligencji polskiej w Wielkiej Brytanii. Tylko z największym trudem udało się w latach 1944—45 zrównoważyć w pewnym stopniu szalę opadającego do nas szacunku i zaufania w Anglii i Szkocji — wagę istotnie wspaniałych zasług bojowych polskiego żołnierza, lotnika i marynarza.

Na długo również przed śmiercią fizyczną Sikorskiego skwapliwie zabijano wraz z nim samym w opinii polskiej, żołnierskiej — dosłownie każde jego posunięcie, każdy zamiar — słowo — gest. Ośmieszano rozkazy, zniekształcano intencje.

Nie oszczędzano w Sikorskim nawet jego ojcowskiego serca — bo kochał nad wszelki wyraz córkę, która zawsze pragnęła umrzeć tak, jak zginęła — razem z ojcem. Należała do jego najlepszych żołnierzy²⁵⁾.

Po katastrofie posypały się polskie mowy żałobne: pełne prawdziwej rozpacz i klamanego żalu i przestraszonego opamiętania. A świat pospiesznie uznał i ogłosił w setkach telegramów kondolencyjnych i artykułów prasowych, że strata Sikorskiego jest dla Polski ciosem niepowetowanym, nie do naprawienia. Szczególne larum nad sprawą polską podniosła wkrótce prasa angielska: zginął Sikorski, zginęła Polska...

Polska jest wielka.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz

*) Zmarła w stopniu podporucznika Fomocniczej Służby Wojsk. Kobiet.

czy. To jest rdzeń tego poglądu o którego szczegóły nam w tej chwili nie chodzi, bo można je znaleźć w każdym podręczniku historii filozofii. Ten punkt widzenia podjęty przez humanistów Odrodzenia a potem powtarzający się w humanizmie F.C.S. Schillera i pragmatyzmie Peirce’a i Jamesa, stanowi właściwą podstawę historycznych koncepcji humanizmu. Podkreśla ona bowiem z całym naciskiem specjalne stanowisko człowieka w ramach świata, jego stanowisko autonomiczne, jego zdolności twórcze. Pisał Giovanni Pico della Mirandola: „Zwierzęta z łona matki przynoszą na świat wszystko, czego im potrzeba, duchy wyższe zaraz od początku lub bardzo rychło stają się tym, czym mają pozostać na całą wieczność. Ty jeden tylko masz swobodę rozwoju, potęgowania swej istoty, masz w sobie zarodki pełni życia”. Człowiek w tej koncepcji zostaje w taki czy inny sposób wyzwolony spod przeznaczenia kierowanego wszechmocną wolą Bożą czy też niezmiennymi prawami przyrody. Może najtypowszym dla tej koncepcji jest sformułowanie Znanieckiego w cytowanej wyżej książce: „człowiek, ognisko i twórcza siła... Nie poniżej absolutu, lecz ponad nim ugruntować należy potęgę wszechwładną człowieka”.

Takie ujęcie człowieka jest podstawą minimalistycznego poglądu na świat, wytworzonego już przez sofistów, sensualistycznej i relatywistycznej teorii poznania, praktycyzmu i konwencjonalizmu. Świat istnieje przez człowieka i dla człowieka, a tylko człowiek w nim nas interesuje. Sofisci nie zajmowali się ani przyrodą ani teologią. Protagoras pisał: „O bogach nie potrafię wiedzieć ani że są, ani że nie są; wiele bowiem rzeczy przeskądza mi to wiedzieć, niejasność samej rzeczy i krótkość życia ludzkiego”. Człowiek jest elementem twórczym świata, porządek bytu jest porządkiem ludzkim, sensem życia ludzkiego jest twórczość. Stąd humanizm przeciwstawiał się wszelkiej teologii a w czasach renesansu, grecka obojętność przekształciła się w nastawienie bojowe (Valla, Erazm, Hutten).

To są, sądzę, najistotniejsze cechy historycznych koncepcji humanizmu, jako poglądu na świat, czy jako typu filozofii. Podkreślam, że zdaję sobie sprawę z różnic jakie zachodzą między sofistami, humanistami Odrodzenia i humanizmem F. C. S. Schillera. Mowa tu właściwie o różnych humanizmach, gdyż humanizmem Odrodzenia nazywamy nie typ filozofii lecz kierunek zainteresowań — wspólna im była tylko (w szerokich ramach) zasadnicza koncepcja człowieka.

Starożytny pogląd na człowieka jest jedyną możliwą podstawą humanizmu w tym sensie. Weźmy pod uwagę drugą koncepcję człowieka, wywodzącą się z tradycji biblijnej, koncepcję chrześcijańską, której sformułowanie przedstawił J. Turowicz w artykule „U podstaw humanizmu” w Tyg.

Powsz. z 23. XII. 45. Czy możliwy jest humanizm oparty o pogląd na człowieka jako stworzenie boże, podległe woli bożej i dążące do Boga? Sprzeczność jest oczywiście. Humanizm katolicki jest czymś zupełnie innym niż humanizm klasyczny. Człowiek katolicki nie jest miarą wszystkich rzeczy.

Trzeci ogólny typ koncepcji człowieka, wynikający z poglądów nauk przyrodniczych, a który opiera się w zasadzie na Darwinie, lub powiedzmy w poglądach ewolucyjnych znalazł swój najtypowszy wyraz, jest zaprzeczeniem klasycznej koncepcji humanizmu. W tym ujęciu człowiek traci swoje autonomiczne stanowisko w świecie. O ile w chrześcijaństwie człowiek zostaje podporządkowany woli bożej i porządkowi nadnaturalnemu, o tyle w genetycznej koncepcji człowieka zostaje on umiejscowiony ściśle jako równy innym element w przyrodzie. Tę koncepcję człowieka możemy nazwać naturalistyczną. Człowiek zostaje ściśle zdefiniowany jako określony gatunek zoologiczny, gatunek najbardziej zaawansowany w rozwoju, zdolny do wytworzenia kultury. Jednakże o autonomicznym stanowisku człowieka nie ma mowy; twórczość człowieka jest ściśle zdefiniowana prawami przyrody. Naturalizm wyklucza wszelki humanizm.

Tak mniej więcej przedstawia się sprawa humanizmu na tle historycznie wytworzonych poglądów na człowieka. Historyczne koncepcje humanizmu zostały przezyciężone i tylko na kartkach książek prowadzą szlachetny żywot jako przedmiot rozważań uczonych specjalistów. Jednak nazwa humanizmu pozostała nadal żywotna. Nawiązując bezpośrednio do tradycji Odrodzenia mówimy o humanistycznym wykształceniu, gimnazjach humanistycznych, naukach humanistycznych. Prócz tego spotykamy w życiu wiele różnych poglądów nazywających się humanizmem. Jeśli chodzi o używanie przymiotnika humanistyczny dla oznaczania typu nauk czy też po prostu kierunku zainteresowań i wykształcenia, to sprawą tą, jako nie leżącą na linii zainteresowań tego artykułu nie będziemy się tu zajmowali. Poświęćmy natomiast kilka uwag tym poglądom, które posługują się nazwą humanizm dla określenia swoich ideologii.

IDEOLOGIE HUMANISTYCZNE

Humanizmem derywacyjnym nazwać możemy wszystkie ideologie humanizmu czy to personalistyczne, katolickie czy socjalistyczne, koncepcje humanitarystyczne, indywidualistyczne i wszystkie inne jakie jeszcze możemy spotkać w dżungli pojęciowego chaosu.

Humanisci Odrodzenia postawili w sposób wyraźny sprawę ludzkiej osobowości i sprawę ludzkiej godności, mniejsza o ile oryginalnie, a o ile wznawiając pomysły greckie (zwłaszcza stoickie). Mowa Mirandoli o godności człowieka (z której pocho-

*) Artykuł poniższy stawia tylko kilka tez, zaznacza problematykę i szkicuje kierunek rozumowań. Celem jego jest tylko wskazanie możliwości poprawnego niecia zagadnienia humanizmu, jako podstawy do uporządkowania dyskusji.

dzi cytowany wyżej wyjątek) jest jednym z najdonioślejszych dokumentów tej postawy. Z tej postawy humanizmu biorą swoje początki tendencje humanitarystyczne splecione z chrześcijańską zasadą miłości bliźniego. Z niej wywodzi się również filozofia, która leżała u podstaw „Deklaracji praw człowieka”. Z niej wywodzi się indywidualizm w swoich różnych postaciach. Indywidualizm często bywa utożsamiany z humanizmem, pojęciem jako stanowisko broniące praw jednostki przeciw przemocy zbiorowości, przeciwko tendencjom podporządkowania jednostki grupie. Ten indywidualizm opiera się na poglądzie, że prawdziwym człowiekiem jest tylko jednostka „wolna”, wyzwolona z więzów społecznych. Powstał ten pogląd na długo przedtem, zanim socjologowie zdali sobie sprawę i wykazali, że taka jednostka jest iluzją, że człowiek staje się człowiekiem tylko przez uczestnictwo w życiu zbiorowości. Trzeba tu dodać, że humanizm klasyczny głosił również prymat jednostki. Lecz, ten indywidualizm humanistyczny wychodził z innych założeń i pozbawiony był posmaku obrony liberalizmu, jaką niewątpliwie jest zabarwienie indywidualizmu nowoczesny przeciwstawiany etatyzmowi. Gdy Heraklit mówił: „Jeden wart tyle co dziesięć tysięcy, jeśli jest najlepszy”, to miał przed oczyma grecki ideał doskonałości człowieka wszechstronnie rozwiniętego. Humanizm głosił prymat jednostki twórczej, a nie bezkarności jednostki egoistycznej.

Do tych wszystkich kierunków i dążeń, które nazwa humanizmu zostaje stosowana albo przez nieporozumienie, albo jako parawan osłaniający istotne cele. Nazwa humanizmu technicznie pewną wzniosłością, z tą nazwą w potocznym obiegu kojarzą się wyobrażenia kultu człowieka, idealizacje człowieka, niejasne intuicje wysokiej wartości reprezentowanych przez „człowieka jako takiego, człowieka w ogóle”. Stąd więc korzystnie jest związać ten kompleks wyobrażeń z pewną ideologią, chociażby była ona zupełnym zaprzeczeniem klasycznej koncepcji humanizmu. I dlatego nazwa ta tak dobrze się nadała jako sztandar dla wielu derywacji (w sensie Paréta). Mówiąc językiem, do którego przyzwyczailiśmy się podczas wojny, taki „humanizm”, to jest zastona dymna osłaniająca atak, nie pozwalająca zorientować się w sile atakującego i kierunku natarcia.

Te humanizmy derywacyjne starają się wskrzesić pewne tradycje humanizmu klasycznego, stwarzając nowe koncepcje człowieka. Nie wdając się w szukanie przyczyn, stwierdzamy fakt, że zainteresowanie pytaniami „czym jest człowiek?” nabiera nowej powszechności. Z jednej strony, na rozwój tych zainteresowań wpłynęły pewne kierunki naukowe, z drugiej, wymagania stawiane koncepcjom ideologicznym. Sprzecznym się o humanizm prawdziwy czy nieprawdziwy było by jałowym sporem o nazwę. Dyskusja tocząca się obecnie wokół humanizmu jest w swej istocie dyskusją nad zagadnieniem człowieka. Nie dyskutujmy o humanizmie i państwie. To jest świadome wprowadzanie zamętu. Postawmy zagadnienie podstawowe. Zagadnienie człowieka. I postawmy je empirycznie.

ZAGADNIENIE CZŁOWIEKA

Mówmy o człowieku, jego stanowisku w świecie i o wszystkich stąd wynikających zagadnieniach praktycznych, a więc i o roli jednostki w zbiorowości. Jako podstawę naszych rozważań przyjmijmy empiryczną koncepcję człowieka. Co przez to rozumiemy? Przede wszystkim widzimy w tej koncepcji podstawę do obiektywnego rozpatrzenia omawianego kompleksu zagadnień. Mówiąc o obiektywności mamy na myśli „intersubiektywną sprawdzalność” poprawności wywodów. Jeżeli więc chcemy mówić o człowieku, to mówmy w języku podlegającym kontroli.

W różny sposób możemy „skonstruować” człowieka. Możemy go wyprowadzić z porządku nadprzyrodzonego, skąd wyszedł na scenę świata aby tam odegrać najlepszą rolę, której starano się go wyuczyć przed wyjściem, i żeby skończywszy arg. znowu powrócić tam skąd wyszedł. To jest teologiczna koncepcja człowieka. Druga koncepcja, sformułowana w filozofii niemieckiej, wywodzi człowieka (powiedzmy najogólniej) ze świata wartości. Tu mieszczą się koncepcje Diltheya, Schellera i całej plejady metafizyków. To jest ujęcie metafizyczne, w któ-

rym człowiek zostaje pojęty jako wytwór „najwyższej zasady rzeczy, której częściowym przejawem jest życie, zasady nazywanej duchem”.

Nasza koncepcja jest inna. Opiera się ona na przekonaniu, że istnieje tylko dwa źródła poznania: doświadczenie i rozumowanie, nawzajem się uzupełniające i nierozdzielnie się łączące. Wychodzimy z danych doświadczenia, tzn. człowieka konstruujemy z danych, jakich dostarcza nam nauka o człowieku jak biologia, psychologia, socjologia, etnologia, antropologia, ekonomia i inne, badające człowieka i jego wytwory. Staramy się z każdej nauki włączyć uzyskany przez nią aspekt i budujemy nasz empiryczny pogląd na człowieka z następujących zasadniczych grup danych: z doznań zmysłowych jakie przeżywamy stykając się z człowiekiem jako organizmem, z redukcji znaczeniowych jakie przeprowadzamy ujmując jego zachowanie się bądź w schemat ujmowania siebie samego, bądź w schemat wyjaśniający ca-

PAWEŁ HERTZ

Partia inteligencji francuskiej

Gdy w sierpniu 1939 roku wyjeżdżałem z Paryża, odprowadzało mnie dwóch Francuzów. Na ciemnym peronie Gare de l'Ouest powtarzałem im to, w co naprawdę wierzyłem wówczas po długotrwałym pobycie w Paryżu: że Zachód jest jedyną opoką cywilizacji, że musimy trwać na straży ideałów biorących swój początek z ognisk cywilizacyjnych położonych w basenie morza Śródziemnego, że surrealizm to największe osiągnięcie poezji francuskiej, że Gide to jedyny moralista itd. Mówiliem zapewne to samo, co mówili wszyscy pozostali synowie rodzin mieszczańskich odbywający w Paryżu krótszy lub dłuższy staż, celem uzupełnienia „europejskiej edukacji”. Dwaj Francuzi, którzy dawali mi na drogę ostatnie błogosławieństwa Paryża, byli to: Jacques St., malarz, syn znanego paryskiego antykwariusza i Marcel Jouhandeau, powieściopisarz, doskonały stylista, współpracownik „Nouvelle Revue Française”. Pierwszy — Żyd z pochodzenia — podzielił zapewne losy tej grupy Francuzów, drugi — jak się okazało z wiadomości, które dobiegały do mnie w czasie lat wojny, współpracował z Niemcami. Kto mógł przewidzieć to wszystko w sierpniu 39 roku na peronie Gare de l'Ouest?

Wywoziłem z Francji wspomnienia Sekwany szarej i fioletowej o zmierzchu, reprodukcje Picassa, upodobanie do osławionego „esprit” i wiarę w prymat tej kultury, której świadectwem był ogromny Paryż — od Montmartre do Dzielnicy Łacińskiej. Dlatego też upadek Francji zaskoczył nas i przeraził, tak jak byliśmy zaskoczeni i przerażeni, gdy okazało się, że czołowi pisarze francuscy, ci, którym wierzyliśmy najbardziej, albo po prostu współpracowali z okupantem, albo też, jak André Gide pozostali w sytuacji dwuznacznej. Wielu z nich rozumowało zapewne z wysokości swoich wień z kości słoniowej, że sprawy wojny i pokoju, to sprawy przemijającego czasu. Wałęzyś mówiąc to, co się da uratować, a przede wszystkim siebie. Gide miał podobno oświadczyć, że nie chce współpracować, gdyż obawia się, że Niemcy okażą się zbyt mili. To zdanie w roku 1939 może być w niejednym z ówczesnych wieścieli francuskiego „esprit” wywołalo zachwyt, świadkom sześćdziesięciu wojny pozostało tylko niesmak.

Znaliśmy — turyści intelektualni — Francję i Paryż bardzo jednostronnie. Zachwycało nas nie to, co jest przewodnią ideą kultury francuskiej, linia biegnąca od wielkich racjonalistów do pisarzy lewicy, poprzez realizm Balzaca i Stendhala. Zachwycały nas w gruncie rzeczy peryferie kultury, smaczki i „gouts” wyrosłe ze skomplikowanych objawów chorobowych Trzeciej Republiki. Intelektualiści francuscy, jak zresztą i intelektualiści innych krajów Europy okazali się w ślepych zaułkach. Wyrosli przeważnie z warstwy mieszczańskiej, rentierskiej, nie sprzyjali ruchom reformy społecznej. Obawiali się, że mniej lub bardziej gwałtowne przemiany likwidują nagromadzone cenności kulturalne, które leżały bezużyteczne w tym wielkim składzie starożytny i błyskotek, w lamusie Francji i świata. Tym niemniej zdawali sobie sprawę, że grunt usuwa się spod nóg znudzonej klasie mieszczańskiej. Były dwa wyjścia — poza samobójczym zamykaniem oczu — starać się ocalić istniejący stan rzeczy, lub pomóc w jego likwidacji, wierząc, że nadchodząca na zmianę mieszczaństwu nowa klasa społeczna nie zburzy dotychczasowego dorobku kulturalnego, że zechce go zachować i kontynuować.

Decyzją była trudna. Intelektualiści podzieliли się na obozy. Powstały barykady intelektualne, wielu próbowało siedzieć na obu obozach. Do roku 1939 można było od biedy protestować przeciwko nadmier-

nej mechanizacji świata, propagować powrót do natury i t.d. Po roku 1939 „les beaux esprits” okazali się kolaborantami: Montherlant, Drieu la Rochelle, Giono — propagujący powrót do natury Romain — w okresie, gdy wojska sowieckie pod Stalingradem broniły ojczyzny Voltaire'a pisał dwudziesty tom „Ludzi dobrej woli” — pamflet na ZSRR.

Tylko dwie grupy intelektualistów walczyły o Francję. O jaką Francję? Czy o Paryż — magazyn bezużytecznych bibelotów intelektualnych i smaczków artystycznych, czy o Francję — kraj wielkich humanistów, lyońskich tkaczy, pikardzkich górników, wielomilipnowej armii radykalnej i demokratycznej inteligencji zawodowej. Komuniści i katolicy walczyli o Francję Joanny d'Arc i Wielkiej Encyklopedii. Naszym katolikiem, trwającym od lat w watykańskim kwiatyście, wyda się to niemożliwe. Nasz inteligent podejrzyliwie przeczyta to zdanie: Komuniści — Joanna d'Arc? I tu właśnie pragnę zwrócić uwagę na niezmiennie cenną książkę, która ukazała się niedawno po polsku, „Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej” Rogera Garaudy jest tą książką, która najdobitniej i najjaśniej określa pozycję komunistycznej Partii Francji wobec całokształtu kultury francuskiej. Jednocześnie polski inteligent, może nie bez zdziwienia, powinien zrozumieć, że taki sam program kulturalny i podobny stosunek do zasadniczych spraw kultury i sztuki ma w Polsce ta grupa intelektualistów i pisarzy, która opowiedziała się za „rewolucją łagodną”.

Bądźmy szczerzy. Intelektualiści czy inteligencja zawodowa w Polsce nie mieli żadnej pewności, że w wypadku wprowadzenia reform w ustroju społecznym i zmian, jakie zajądą w układzie ekonomicznym, nie zostaną podważone tradycje kulturalne naszego życia narodowego. Lewicę wyobrażano sobie jak „człowieka z nożem w zębach”. Internacjonalizm radykalnych ruchów społecznych nasuwał obawy metyzaacji kultury narodowej, wprowadzenia intelektualnego volapüku. Za tego rodzaju nieporozumienie w Polsce odpowiedzialna jest nie tylko inteligencja zawodowa i cienka warstwa intelektualistów, przeważnie niechętna „nowinkom”. Odpowiedzialni są również ci działacze ugrupowań postępowych, którzy w ciągu wielu lat nie potrafili zdobyć sobie ani inteligenta, ani tym bardziej intelektualistów. Przyznajmy, że intelektualny ruch lewicy polskiej był bardzo słaby, obliczony raczej na doraźną propagandę, która chybiała celu.

Garaudy stwierdza w swojej książce rzeczy zasadnicze: komuniści nie tylko nie zamierzają likwidować tego wszystkiego, co dotychczas w dziedzinie kultury we Francji osiągnięto, lecz przeciwnie, zaniechają ten dorobek chronić i kontynuować. Oczywiście kontynuować to, co jest istotną wartością francuskiej kultury: humanizm. „Wszystkie siły duchowe Francji znajdują właściwe sobie miejsce w wielkim dziele odrodzenia. Nigdy nie przestaniemy powtarzać, że nie zamierzamy pozbawić Francji żadnej z jej wartości duchowych”. Garaudy podkreśla tradycje chrześcijańskie i antyczne Francji oraz postępową rolę mieszczańskiego krytycyzmu i mieszczańskiej ironii, walczących przeciwko systemowi feudalnemu. „Szlachezny niepokój ludzki, zrodzony z chrześcijaństwa, rzymskie dążenie do porządku i twórcza krytyka ludu” — oto elementy prawdziwego ducha Francji.

Partia, której poglądy na sprawę kultury przedstawia w swojej pracy Garaudy, gwarantuje intelektualistom: naukową metodę myślenia i możliwość uczestnictwa zarówno uczonego jak i artysty w dziele budowy.

Nowy humanizm, reprezentowany dziś

nego środowiska przy pomocy jego elementów, zaznaczyła się jako „wielka mutacja, przez którą proces ewolucyjny skończył naprzód” (H. H. Bawden „The Evolution of Behavior”). Tu leży istotny punkt wszelkiej dyskusji. Sensowna dyskusja może dotyczyć tylko metod i środków racjonalnego organizowania warunków ludzkiego życia. A punktem wyjścia jest dla nas człowiek empiryczny, określony przez historycznie dane warunki życia, nie wytwór Boga czy obiektywnego ducha. Wytyczne jego działalności wyprowadzamy z tych właśnie warunków życia, które metodologicznie respektować musimy więcej niż „najwyższe” absoluty.

Humanizm klasyczny odrzucamy z względu na logiczną niemożliwość jego utrzymania, z humanizmów derywacyjnych gotowi jesteśmy wyluskać z otoczek obłudy istotne zagadnienia i rozważyć je na gruncie empirycznym. Bo nie o „humanizm” tu chodzi. O człowieka.

Jan Szczepański

wyłącznie po lewej stronie barykady, jest konsekwencją pełnej zgody marksistów francuskich z dotychczasowym dorobkiem intelektualnym Francji. Dlatego zapewne obserwujemy interesujące zjawisko: i we Francji i w Polsce obóz lewicy może się poszczycić nierównie większą ilością nazwisk i wyższą ich jakością — intelektualistów zwracających się tam, gdzie zapewniają im możliwość naukowego, logicznego myślenia, opartego o najlepsze tradycje europejskiej kultury.

Wszystko to, co napisałem na początku mego artykułu, a co było próbą ukazania przejęcia dzielącej do roku wojny intelektualistę, pisarza lub malarza od świata prawdziwych zdarzeń, świadczyło niewątpliwie o nieprzydatności ludzi sztuki, których spekulacje myślowe były odwręcone od realnych podstaw i od bijącej w oczy rzeczywistości. Pisarz w pewnej chwili okazał się samotny, bez czytelnika. W kilku stolicach Europy kilkanaście tysięcy snobów owtarzało pewne nazwiska i terminy. Zachwycono się fintami, woltami: „Nasłuchiwno fioritur”.

Wielkie przemiany jakie zachodzą w ekonomii i układzie społecznym Europy po tej wojnie, mają swoje echo w sztuce. Zdaniem Garaudy'ego, przemiany te skazują na zagładę „trzy główne grzechy sztuki: estetyzm... indywidualizm artystyczny... sztuki obcej narodowi i jego dramatom...”. Powstawanie nowych organizacji społecznych stworzy warunki sprzyjające narodzinom nowego klasycyzmu. Pisarz zostanie zwrócony narodowi.

W „Komunizmie i odrodzeniu kultury francuskiej” jest piękny rozdział pt. „Wnioski. Partia inteligencji francuskiej”, w którym autor komunista broni tezy, że artyści i uczeni francuscy „tworzyli największe swe dzieła w epokach, gdy sztuka lub nauka miały znaczenie społeczne lub odpowiadały na zamówienie narodowe”. I Garaudy, protestując przeciwko schöngheistowskiemu twierdzeniu na temat obniżania poziomu sztuki i utilitaryzowania nauki przez komunistów, wymienia przykłady i nazwiska. „Myśl francuska w godzinach swojej wielkości była zawsze myślą walczącą” — Rabelais, Kartezjusz, Voltaire, Lammenais, Zola, Jaures. My, którzy w przeciwieństwie do Francuzów liczymy kolaborantów na palcach i którzy w przeciwieństwie do Francuzów gorzej orientujemy się w tych ogromnych przemianach jakie zaszły w umysłach intelektualistów, powinniśmy się głębiej zastanowić nad tym, że obóz marksistowski we Francji jest silny nie tylko dzięki swej masowości, lecz i dlatego, że przyłączyli się do niego najwybitniejsi przedstawiciele nauki i sztuki francuskiej.

Gdybyśmy wtędy w sierpniu 1939 roku na peronie Gare de l'Ouest widzieli czym się skończy nasza błyskotliwa, lecz powierzchowna „éducation européenne” próbowałbym może ocalić choćby wspomnienie o niej. Lecz krach nastąpił zbyt gwałtownie. Zapewne nie tylko ja, lecz całe moje pokolenie musiało w ciągu tych sześciu lat uczyć się świata na nowo.

Dla tych wszystkich prac Garaudy'ego, ukazujących się po polsku w świetnym tłumaczeniu Jana Kotta, jest wyrazem ich własnej wiary w prawdziwą, nieprzerwaną, produktywną kulturę Francji i w przydatność zarówno inteligencji jak i intelektualistów w nowym układzie społecznym. Partia komunistyczna będąca jednym z gwarantów odrodzenia Francji „rozumiała głęboko — pisze w zakończeniu Roger Garaudy — znaczenie przeżytych prób historycznych. Dlatego też jest otwarta dla wszystkich, którzy kochają przyszość. Jest ona partią inteligencji francuskiej”.

*) Roger Garaudy: Komunizm i odrodzenie kultury francuskiej, tłum. Jan Kott, Sp. Wyd. „Książka”, 1945.

Korespondencja z Warszawy

„Co myślisz starcze o ludach zachodnich?”

(z powodu wystawienia „Lilli Wenedy”)

I
W prasie poruszano już kwestię wyboru „Lilli Wenedy” jako pierwszego przedstawienia teatru państwowego w Warszawie. Teatr, przewidując zastrzeżenia, tłumaczy się z góry w wydrukowanym przy programie komentarzu. Sprawa może być potraktowana szerzej — w związku z całokształtem stosunków teatralnych u nas.

„Lilla Weneda” stanowi jedną z kronik dramatycznych, w których Słowacki zamierzał przedstawić początki dziejów Polski. Osnowa tragedii daje kapryśne pomieszanie wątków podaniowych z koncepcją powstania państwa polskiego z podboju. Na ziemi nadgoplańskiej przybywa król Lech i po wygranych bitwach wyrzyna miejscowe plemiona, by założyć królestwo Lechitów. Lech przybywa z zachodu: król rycerski, dzielny w boju ale głowa nietęga, ma żonę Skandynawkę. Sroga Gwinona przewyższa męża intelektualnie i dyryguje politycznie sprawą.

Ty dobry w boju i na polowaniu,
Ale, gdy trzeba robić co ci nudzi,
To się ty wdrągasz. Ty masz lwią naturę!
Albo spać... albo krew pić lubisz ciepłą.

Na to Lech: „Ja to do siebie znam”. Charakterystyka ta została przez Słowackiego powtórzona w przedmowie, gdzie pisze o Lechu, uogólniając go jako cechę poniekąd narodu: „brat Rolanda, a prasczur Sobieskiego, człowiek silnej ręki a molierowski w domostwie słabości... Kontusz mu włożyć i żupan, niechaj panuje — bez jutra”.

„Lilla Weneda” w swoim czasie dawała wyraz koncepcjom rewizjonizmu polityczno-historycznego. Rozpatrywanie elementów tego rewizjonizmu za daleko by zaprowadziło — przełamał się tu w swoisty sposób dramat rozbiórów, kłeska powstania listopadowego, tragizm wewnętrzny Wielkiej Emigracji. Ograniczmy się do paru uwag.

Koleje przewyższonej nawet koncepcji dziejowych bywają zmienne. Inaczej przyjmowano te rzeczy przed stu czy przed nawet pięćdziesięciu laty. Ta koncepcja dzisiaj, zgódźmy się, traci nieco norymberszczyznę, w znaczeniu ostatniego dziesięciolecia.

Zbieżność nie jest przypadkowa. Czasy romantyzmu, pamiętamy o tym, stanowiły okres najsilniejszego natężenia wpływów niemieckich na środowisko intelektualne polskie — przenikały tu przecież nie tylko teorie, kierunki myślowe ale i ogólny sposób patrzenia na rzeczy.

Weźmy ten pogląd na cechy plemienne Lecha i Lechitów, który Słowacki podejmuje. Określenie polskiego charakteru narodowego jako mieszaniny bitności, krwiożerczości i okrucieństwa z jakąś dobronadziejnością, przy indolencji umysłowej spotyka się po dziś dzień w ulotnych sądach zagranicznych. Po kampanii wrześniowej 1939 r. pewna dziennikarka angielska napisała książkę, niepozabawioną sympatią dla Polski. Jako jeden z głównych rysów charakteru narodowego dziennikarka owa uważa „romantyczne okrucieństwo”. Polska prasa emigracyjna polemizowała z tym nie bez irytacji. „Lilla Weneda” może ten sąd usprawiedliwić przy całej jego płytkości. Podkreślam oczywiście, że nie chodzi tu o samą zasadę rewizjonizmu, ile o jego w tym wypadku płytkość i powierzchowność.

II

Za główny trzon ideologiczny dramatu uważano tradycyjnie gloryfikację nieprzejednanego patriotyzmu, który ma uosabiać wieszczka mordowanego ludu — Roza Weneda. Ale wnioskując z tego, co w dramacie mówi Roza, trudno by znaleźć u niej jakąś linię patriotycznego działania czy nawet podniety do takiego działania. Roza Weneda, od prologu poczynając, obwieści kłeskę nieuniknioną. Mówi to starszyźnie plemiennej, harfiarzom, gdy idą zagrzewać lud do walki:

„Za trzy dni wszystkiemu kres.

Walka i zgon”.

To samo powtarza się w scenie z wodzami: Roza Weneda zagrzewa ich do walki a jednocześnie wieści nieuniknioną kłeskę, co rzecz oczywista, musi tę psychiczną gotowość do walki podważyć.

Gdyby Roza miała być wieszczką organizującą i głoszącą nieprzejednaną walkę, to jasne, iż musiałaby sformułować swoje wroźby czy przecucia a nie mrozić zapalu. W swoich wroźbach Roza występuje raczej jako wieszczka-defetystka w rodzaju Kassandry, szerząc przepowiednie nieuniknionej kłeski. Ale w takim razie tajemnicę stanowi jej wpływ, jej autorytet u Wenedów — nie tylko nikt nie próbuje zamknąć osoby o tak podejrzanym zachowaniu do lochu, (choćby to była córka królewskiej dynastii piastowskiej niejedyn król lewicz skończył żywot w więzieniu, z ręki katar, pod oskarżeniem konszachców z zagranicą), ale

wszyscy słuchają jej z nabożeństwem — bracia i zgromadzeni wodzowie akceptują bez szemrania takie pomysły jak wysłanie do walki jako dowódców-królewiczów, skulonych więzionym tańcem, mającym przeskądzać ich poruszenie.

To co mówi Roza idzie od jednej pięknej frazy poetyckiej do drugiej, postać potraktowana jest raczej deklamacyjnie.

Kłeska Wenedów, jej nieuniknioność w dramacie, nie jest umotywowana. Autor ustami Lecha podkreśla, że Wenedzi fizycznie górują nad najeźdźcami, są dzielni, wprawnie władają bronią o czym świadczy rzut topora Polem. Są od tychże najeźdźców licniejsi („ich jest mrowie, nas garstka” — powiada Lech). Autor nie motywuje kłeski jakimiś ludzkimi czynnikami — „pół rycerzy od piorunów zginie, pół od miecza” — powiada prorokini, Roza. Ale nie powiedziano nam czemu siły przyrody są tak dla Wenedów niełaskawe. Bez bliższego umotywowania św. Gwalbert w imieniu chrześcijaństwa ofiaruje Lechitom zwycięstwo — co Lech przyjmuje z lekceważeniem.

Wenedzi przegrują, by zadość uczynić koncepcji historiozoficznej. Przegrują, konając wyrzynani przez wroga lub z ręki własnej i przekazują późniejszym stuleciom zemstę, zaś wrogom, Lechitom kłeskę w drodze jakiejś bliżej nieokreślonej kolejności.

Wróćmy do Rozy, do jej sugestywnych, nastrojowych, miejscami pełnych namietności tyrad. Przemowy, monolog, hymny śpiewane przez Rozę nacechowane są po prostu kultem kłeski. Roza wieści kłeskę, upaja się nią, upaja się wizjami nieuniknionej pogromy: Roza widzi „I noc okropności mściwa i wiek haracz” dla narodu — dla niej to stanowi pobudkę do zatapiania się w marzeniach nekrofilskich:

I zakocham się w rycerzy popiołach

I popioły mnie zapłodnią,

powiada, snując szczegółową wizję takich zaślubin. Stale u niej powtarzają się asocjacje trupiami z asocjacjami erotycznymi. Zawodzi:

Trupy moje! Trupy moje! Bóg z wami!

Ja palę trupy wciąż.

Tu mój kochanek był,

Do czaszki przylazł wąż

I krew mu z oczu pil —

I do czaszki wlał krwawymi ustami itd.

To rozmakowywanie się w tego rodzaju wizjach, grzebanie się w trupach, rojenia o zetknięciach cielesnych z trupami u Rozy, u dziela się całej atmosferze dramatu. Nie wiem, czy jest w literaturze światowej drugi utwór, w którym by tyle razy powtarzał się cały asortyment słów związanych ze śmiercią, trupami, rozkładem.

Dawne tragedie obfitowały w krwawe sceny — wystarczy wspomnieć Szekspira, u którego w zakończeniach mamy niekiedy istne rzezie. Osobliwość „Lilli Wenedy” stanowi nie obfitość krwawych scen, ale specyficzne czuwanie się, rozpytywanie, rozmakowywanie się niezdrowe w zjawiskach śmierci, grobu, rozkładu — słowem jakaś atmosfera nekrofilstwa, oblepiająca wszystko.

Romantyzm wiele ponurości i grozy posiał w literaturze, ale w „Lilli Wenedzie” mamy coś, co zdaje się przeliczytować najbardziej ponure obrazy. Tu geniusz romantyczny nie tylko, by tak rzec, z lubością wietrzy zapach krwi, ale zaciąga się z upojeniem strasznym, słodkawym zaduchem cielesnego rozkładu. W te rzeczy zresztą głęboko wniknął później Wyspiański.

Dlatego rozważając rolę „Lilli Wenedy” w patriotycznej literaturze romantyzmu trzeba brać pod uwagę to, że dramat Słowackiego wprowadzał motywy lubowania się kłeską, czuwanie się, rozpytywanie nad własną porażką, szukania w niej wdzięku i powabów. Patriotyczno-bojowe wątki literatury romantycznej przechodzą tutaj w estetyzację kłeski, co, rzecz oczywista, spowodować musiało zanik motywów bojowych.

Oddziaływanie utworu polega na sugestywnym podaniu nastrojów katastrofy, narastającej od prologu aż do zakończenia ostatniego aktu. Te wszystkie klątwy, wyrzekania, urągania w różnorodnym nasileniu zainstrumentowane są z dużą pomysłowością. Stwarzałyby to monotonię, gdyby nie fragmenty groteskowe w postaci św. Gwalberta i błaznistw jego sługi. Postać św. Gwalberta, ilustruje stosunek Słowackiego do chrześcijaństwa — bezsilność interwencji w sprawy ludzkie, ofiarowanie zwycięstwa Lechowi tylko aby pozostać przy silnym — bo w zasadzie Gwalbertowi lepiej odpowiadają Wenedzi. W zakończeniu wizja religijna ma stanowić odciażenie od świata zbrodni i nieszczęścia, choć ostatnie słowa należą do Rozy.

Niezawodnie bardziej ludzkie, jaśniejsze motywy wprowadza watek poświęceń Lilli Wenedy, na których spoczywa ciężar akcji dramatu w partiach środkowych. Konstrukcja jest tutaj dość wiotka — mity zmyślone przez li-

teratów różnią się od mitów powstałych organicznie — sztucznością. Pojedynek Lilli z Gwinoną o życie ojca — seria okrutnych konceptów skandynawki parafizowanych przez pomysły Lilli — to wszystko trąci po trosze literaturą dla dzieci.

Ale te bardziej ludzkie motywy w toku dramatu są podciągnięte pod ogólny nastrój. Kłeska Wenedów pozbawiona została wszelkich umotywowan porządku ludzkiego. Szczególna rola rekwizytów (harfa Derwida, pioruny), w akcji dramatu, powiększa efekty natury estetyzacyjnej. Jednolitość wyrazu nastrojowego, oparta została na dominantach rozkładu upadku, zniszczenia i zatapiania się w ich kontemplacji.

Sztuka istotnie daje możliwość szerokiego wykorzystania efektów specyficznie „teatralnych”. Nie piszę tu recenzji — mimochodem zaznaczę, że przedstawienie warszawskie poszło w niejednym po linii łagodzenia ostrych tonów, pewnego rozładowywania nastrojów na rzecz umiarkowanego realizmu — z uszczerbkiem dla baśniowego prymitywu, który był w zamierzeniach Słowackiego.

III

Jak już wspominałem, chodzi tu nie tyle o przedstawienie samo, ile o wybór sztuki na inauguracyjne przedstawienie pierwszego teatru państwowego.

Sprawa posiada znaczenie ogólniejsze. Tak się złożyło, iż „Lilla Weneda” stała się przedmiotem pewnej rywalizacji — pierwszeństwo do jej wystawienia wyrwały sobie warszawskie teatry miejskie z teatrem państwowym. Czy w tym tkwiła jakaś głębsza myśl? Faktem jest przecie, iż otwarcie teatru państwowego, nawiasem mówiąc, w uroczystą i znaczącą rocznicę, zostało dokonane przy wypełnieniu sceny zawodzeniami, przekleństwami, okrzykami rozpacz, okrucieństwem beznadziejnym. Wybrało sztukę jedną z najbardziej pesymistycznych w polskiej literaturze dramatycznej — sztukę fałszywą w swej koncepcji historiozoficznej, której wznowienie dziś musi mieć ujemny aspekt polityczny.

Otóż tu mamy sprawę natury ogólniejszej, wykraczającą poza wydarzenie natury ściśle teatralnej. Już dość dawno w kołach demokratycznych poruszano sprawę repertuaru naszych teatrów. W dzisiejszym stanie rzeczy zagadnienie to urasta do miary poważnego zagadnienia społecznego.

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Teatry nasze prowadzą, na ogół ci sami ludzie, którzy prowadzili je przed r. 1939. Są to doświadczeni specjaliści, starzy wyjadacze teatralni, którzy niejednemu widzieli, pracowali przy różnych reżimach, przystosowywali się do różnych wymagań. Było by niezawodnie przesadą twierdzić, iż wszyscy oni nastawieni są specjalnie wrogo do dzisiejszej polskiej rzeczywistości i ostentacyjnie dają temu wyraz.

Ale do teatru uczęszcza dziś przeważnie dawna publiczność zmieniona nieco przez wpływ mniej kulturalnego elementu wojennych dorobkiewiczów, spekulantów itp. Ta publiczność ma swoje wymagania i narzuca je teatrowi, a z tzw. nowej rzeczywistości wyraźnie jest niezadowolona. To niezadowolenie wyraża się min. w sposobie reagowania na widowisko teatralne.

Wiemy, iż w Polsce zaszedł przewrót społeczny, iż podcięto korzenie burżuazji oraz obywatelstwa. To przesądza sprawę pod względem społeczno-gospodarczym. Natomiast ludzie, należący do tych warstw w znacznej mierze bądź dzięki posiadanym zasobom bądź dzięki przystosowaniu umijętnemu do nowych warunków, zachowali w znacznej mierze swoje pozycje jako konsumenci nie tylko na rynku materialnych wartości.

Mieszczaństwo dzisiejsze, biorąc ogólnie, przejawia dwie dominujące tendencje, wynikające z wspólnego tła owego podjęcia korzeni, zaniku perspektyw. Mamy tu więc wzmożoną skłonność do używania nadkonsumpcji, zabawy. Ale obok tego mamy drugą postawę — rozczarowania beznadziejnej rozpacz.

Jeśli bojowe elementy mieszczaństwa jeszcze próbują dywersji zbrojnej, to z niewielką wiarą w przyszłość. To zresztą jest mniejszość. Ogólnie biorąc mieszczaństwo holduje nastrojom dekadentckim — snuje najczarniejsze przewidywania. Mieszczech dzisiejszy — ten głębiej myślący — stał się apokaliptykiem i katastrofistą, zatapia się z upodobaniem w rojeniach o zagładzie, nadchodzących kłeskach dziejowych.

Obie te postawy mamy w dzisiejszym teatrze — pierwsza z nich wyraża się w przewadze rzeczy rozrywkowych, często rzeczy niewybrednych. Natomiast tam, gdzie teatr przejawia tendencje poważniejsze, tam uderzająco często sięga do sztuk pesymistycznych, do szerzenia grobowych nastrojów, do zawodzenia, westchnień i jęków. Narzeka się na brak współczesnego repertuaru — w ostatnich czasach

pojawiało się kilka sztuk współczesnych, na aktualnej problematyce osnutych. Mogą one być gorsze czy lepsze — ale się ich nie gra dlatego właśnie, że przejawiają one próbę ujęcia problemów istotnych dzisiejszej rzeczywistości. Dla kierownictwa teatru to już wystarczający motyw do odstraszenia. Publiczność tego nie chce — nie przyjdzie.

To jest bardzo poważne zagadnienie społeczne — nieprzystosowanie dzisiejszego teatru do zmienionych warunków społecznego życia, stronięcie od niego. Czy to znaczy, że reakcyjna postawa, reakcyjne nastroje są tak wszechmocne w społeczeństwie? Tak się złożyło, iż Polska przeszła najróżniejsze odmiany reakcji w ostatnich dziesięcioleciach. Przeszliśmy niemiernie przy swej dzikości eksperymenty rodzimego faszyzmu, przedwojennej elity rządzącej — przeszliśmy zorganizowane piekło okupacyjnego faszyzmu hitlerowskiego. Kraj ma dosyć eksperymentów reakcyjnych, w istocie rzeczy reakcyjne siły nie są u nas wielkie. Miliony ludzi w naszym kraju, miliony pracujących, żyją i walczą w nowym układzie stosunków Polski demokratycznej, tworzą przyszłość borykając się w najcięższych warunkach, odbudowując kraj. Teatr winien pracować dla tych żywiołów, dla tej publiczności. Teatr powinien podjąć realne zadania, realne problemy.

To są uwagi, które nasuwają się z okazji otwarcia pierwszego teatru państwowego.

A. S.-r.

SEWERYN POLLAK

Cień

Odeszłaś w zapomnienie, lecz po długich latach
Zjawiałaś się przede mną znów, płowa włos.
Z ciemności swej wspominasz dawną jasność świata,
Gdy do twych mroków, miła, dociera z ukosa,

I znówu cię na pozór żywą dziś oglądam,
Jak gdyby to co było i nie może wrócić
Nie zagasło w milczeniu. Lecz dziś nic nie żądam,
Ani mnie uradować zdołasz, ni zasmucić.

Targałem cię jak żywą strunę i — uległa,
Tak jak struna wtrzyłaś mojemu głosowi.
Sądziłem, że pieśń moja, kiedyś w mroki zbiegła,
Tobą wróci i martwym mi głosem odpowie.

Ale to już minęło. Z nienawiścią patrzę
W mroki, w których przebywałeś, głębie tajemnicze.
Jasność świata w mym wierszu zostanie na zawsze,
A ty na dnie wspomnienia — cieniem tylko, niczym.

Więc nie powracaj, cieniu. Tutaj już pozostań.
Próżnię lat wypełniłem, miła, twym widokiem.

Pozostań jaką byłaś, uległa i prosta,
I obca — przestępną zastępną obłokiem.
1946.

**

Uczucia są — przyzwyczajeniem
Można je nazwać, gdy uśpione,
Lecz spróbuj je poruszyć technieniem —
Jak szron na szybie zamrożonej
Stopnięją w mgle i wnet zobaczysz
Tam, gdzie był mrozu obraz czysty,
Rozwiany ślad, co więcej znaczy
Im bardziej jasny i przejrzysty.
A spróbuj ciepłem go rozgrzewać
I niech weń słońca z zewnątrz jeszcze
Gorąca wleje się ulewa,
Już nie poradzisz sobie z dreszczem,
Co cię przeniknie mimo woli,
Z przyzwyczajeniem, które boli.

Więc, aby nie bolało, możesz
Podbiegunową grzać je tęczę.
Rozpłomienione mroźne zore
W martwym powietrzu niech ci brzęczą
Jak blacha, co przez wiatr zerwana
I którą ciałem wiatr potrąca,
O ścianę całą noc do rana
Dzwoni bez końca, dzwoni bez końca.

A lepiej, gdy je w czasie głębi
Zalopisz, kiedy je pokryje
Mrok, co nie grzeje ani ziębi,
Wspomnienie, które już niczyje,
Bo na nim warstwa słów się zbiera,
Rozdanych obcym ludziom szczerze,
Warstwa słów obcych — jej rozdierać
Nie próbuj — zbyt ją łatwo podrzesz.
Póki się tak już nie odmienisz,
Idąc przez czasu ostrą zamięć,
Aż się spostrzeżesz ze zdumieniem,
Że inną nawet masz już pamięć,
Że się przemiana dopełniła.

Już zapomniałem. Żegnaj, miła.
1946.

HENRYK EILE

Publicystyka „Proletariatu”

Siedemdziesiąt lat wstecz sięgają początki ruchu socjalistycznego w Polsce. Rozpoczął się on bowiem w 1876 r. Jego program nie obejmował założenia partii. Ograniczał się do działania za pośrednictwem systemu kółkowo-propagandystycznego. Niezbędną literaturę propagandystyczną stanowiły z początku broszury. Wydano ich ogółem siedem. Były to niemal wyłącznie przekłady z broszur rosyjskich i niemieckich. Drukowano je pierwotnie w Lipsku, później we Lwowie i Krakowie, skąd je następnie, w sposób oczywiście nielegalny, przewożono do Warszawy.

Z biegiem czasu przystąpiono do wydawania polskiego pisma socjalistycznego. Było ono drukowane również zagranicą. Tak, w październiku 1879 r. ukazał się w Genewie pierwszy numer „Równości”, pisma o charakterze ideologicznym, a więc nadającego się tylko w niedostatecznej mierze do celów propagandy. W połowie 1881 r., w następstwie konfliktu redakcyjnego, część członków redakcji omawianego pisma urządziła secesję i założyła odrębne pismo pn. „Przedświt”, którego numer pierwszy ukazał się w dniu 15-go sierpnia 1881 r. Wkrótce potem „Równość” przestała wychodzić, tak że „Przedświt” (skupiający wówczas cały dawny zespół redakcyjny „Równości”) stał się jedynym organem polskiej myśli socjalistycznej. Jego nastawienie było już bardziej propagandystyczne. Mimo to, omawiana pismo nie spełniało swego zadania, gdyż przywóz ze Szwajcarii do Warszawy był trudny, kosztowny i pochłaniał wiele czasu. Z uwagi zwłaszcza na ostatnio wspomnianą okoliczność „Przedświt” nie mógł natychmiast reagować na wydarzenia, które podówczas rozgrywały się w kraju. Pozbawiało to owe pismo waloru aktualności.

Dażono tedy, i to już od 1878 r., do założenia w kraju tajnej drukarni. Celem zrealizowania tych dążeń, Wacław Sieroszewski i Jan Tomaszewski przywieźli z zagranicy rozłożoną na części drukarnię. Montowaną ją na Pradze, w warsztacie flusarskim. Nie została ona jednak — o ile można by sądzić — uruchomiona. W 1881 roku ponownie zabiegł pod względem założenia w Warszawie nielegalnej drukarni. Miano ją sprowadzić z Kijowa, do czego jednak nie doszło. Początkowo wydawał w Warszawie pismo, odbijane hektograficznie. Pierwszy i zarazem ostatni numer takiego pisma, które nosiło nazwę „Gawędy z ludem robotczym” i zostało odbite w 39 egzemplarzach, ukazał się w styczniu 1881 r.

Kiedy w rok później (1882 r.), powstała pierwsza polska partia socjalistyczna w Polsce pn. „Partia socjalno-rewolucyjna Proletariat”, nie zastała ona w kraju żadnego aparatu wydawniczego. Istnienie zaś takiego aparatu było jeszcze bardziej niezbędne niż poprzednio, gdyż to, co mogło w dziedzinie akcji wydawniczej od biedy zaspakajać potrzeby kółek, nie mogło w żadnej mierze zaspakajać potrzeb partii, mającej prowadzić opartą o program polityczny walkę polityczną, której podstawowym elementem była działalność masowa. Literatura drukowana zagranicą, zwłaszcza w postaci broszurek, nie wchodziła więcej w rachubę. Partia polityczna, pragnąca utrzymać kontakt z masami i na nie oddziaływać, nie mogła być zależna od przemycania przez granicę „bibuły”. Miedzy jej wydrukowaniem a przywiezieniem do Warszawy, upływało nieraz kilka miesięcy. (Jaka zaś wartość przedstawiała możliwość zajmowania stanowiska bezpośrednio po wydarzeniu, które wymagało zajęcia stanowiska, ilustruje sprawa wydania przez oberpolmistrza warszawskiego, generała Buturlina, w dniu 10 lutego 1883 r., zarządzenia, podającego robotnicę nadzorowi sanitarno-objazdowemu. Dzięki temu, że „Proletariat”, dysponował już w owym czasie własną na miejscu będącą drukarnią, można było już w 3 dni później, 13-go lutego 1883 r., zareagować na wspomniane zarządzenie odezwą, która stanowiła świadectwo aktywności młodej partii i przyniosła jej pełny sukces. Ponadto, sam fakt posiadania w ówczesnych warunkach własnej drukarni i wydawania na miejscu publikacji, posiadał duże znaczenie moralne. Wpływał dodatnio na opinię mas o sile partii i jej umiejętnościach przezwyciężania przeciwności i trudności. Hasłem „Proletariatu” stało się tedy założenie w kraju własnej drukarni. W związku z tym pozostawało, z istoty rzeczy, wydawanie w kraju wchodzących w rachubę publikacji. Ich forma ponadto uległa zmianie. Miejsce bowiem propagandowo-uświadamiających broszurek, zajęła treściwa, mocna, łatwa do masowego rozprowadzania odezwa.

Jednocześnie partia coraz bardziej rozumiała, że wychodzący na obczyźnie „Przedświt” nie zaspakaja w całej pełni jej potrzeb. Wymagała one bowiem istnienia obok organu o charakterze teoretycznym, jakim było wspomniane, na emigracji ukazujące się pismo, poza tym istnienia organu o charakterze propagandystycznym. Takie pismo, przeznaczone dla szerokich mas, o lokalno-aktualnym nastawieniu, mu-

siało z konieczności być wydawane na miejscu, w kraju.

Jakie były etapy rozwoju akcji wydawniczej partii? W pierwszym okresie jej istnienia, w celach wydawniczych posługiwano się hektografem. W ten sposób odbito odezwę programową partii. Skoro jednak ten sposób powielania okazał się niedostatecznym, omawianą odezwą w drugiej jej redakcji drukowano zagranicą, sprowadzono do kraju. Powodowało to znaczne trudności, wobec czego drukowano dalsze odezwy w miejscowych drukarniach legalnych, w sposób, oczywiście, nielegalny. I to nie rozwiązywało naczelnego zagadnienia: obsługi masowego kółkowo. Temu nie cierpiącemu zwłoki postulatowi mogła uczynić zadość jedynie własna drukarnia.

Pierwsza z rzędu powstała w grudniu 1882 r. na skutek wysiłków Ludwika Waryńskiego. Nie pozostawała, przypuszczalnie, pod względem technicznym na wyższym poziomie, skoro w czasie jej istnienia, w charakterze drukarni partii „Proletariat”, tzn. do dnia 9 marca 1883 r., nie przystąpiono do wydawania organu krajowego. Wydrukowano w niej tylko parę odezw, m. in. poprzednio wspomnianą, odpowiedź na zarządzenie generała Buturlina oraz odezwę, informującą o sukcesie odniesionym w omawianej sprawie. W następstwie rozłam w partii „Proletariat”, który doprowadził do powstania nowej partii pn. „Solidarność”, w ręce tej partii przeszła drukarnia w ostatnio wspomnianym terminie. Natomiast partia „Proletariat”, mimo swej licznej przewagi, pozostała znowu bez drukarni.

Taki stan trwał do maja 1883 r., kiedy to w Warszawie na Wawliowie Nr 8, zmontowano nową, drugą z rzędu drukarnię. Zakupił ją we Wrocławiu Ludwik Waryński. On też zorganizował jej przewiezienie do kraju przez przemysłników. Przewóz przez granicę odbywał się pod nadzorem Hilarego Gostkiewicza. Ta drukarnia, która istniała na Wawliowie do końca 1883 r., oddała partii „Proletariat” ogromne usługi. Pomijając bowiem wydrukowanie odezw z okazji koronacji cara, odezwy tzw. łódzkiej wydanej w języku polskim i niemieckim, dwóch broszurek a m. obrazka fabrycznego pt. „Bezrobocie” i Piotra Krutotkina „Do młodzieży”, w omawianej drukarni wydano cztery numery pisma pt. „Proletariat”. Numery były datowane: 15. 9., 1. 10., 20. 10. oraz 20. 11. 1883 r.

Później, u samego schyłku 1883 r., omawiana drukarnia prawdopodobnie celem zatarcia śladów i zapobieżenia dekonspiracji po aresztowaniach w Krakowie, została z Wawliowa przeniesiona za rogatką Marymoncką. Tam, z datą 1. 5. 1884 r., ukazał się numer piąty i zarazem ostatni pisma pt. „Proletariat”. Drukarnia była zmontowana w sposób umożliwiający przenoszenie jej w częściach z jednego miejsca na inne. M. in. była przenoszona do Warszawy, na strych domu przy ul. Nalewki Nr 22, innym znowu razem do lokalu, w bezpośrednim sąsiedztwie którego znajdowała się szkoła tańców, by one zagłuszały stuk maszyn drukarskich. W razie alarmu można było całą drukarnię przesunąć na sznurze do innego mieszkania. Jeszcze innym razem umieszczono ją przy ulicy Złotej, niedaleko cukierni, do której wstępowali wszyscy, udający się do drukarni. W cukierni upewniano się bowiem, że drukarni nie odkryli żandarmi i że odwiezającym ją nie grozi aresztowanie. Umówionym znakiem było podkreślenie w „Kurierze Warszawskim” klauzuli „dozwolono cenzurze” — do oznaczalo, że na razie wszystko jest w porządku. Mimo przestrzegania najdalej idącej ostrożności (numer składano gdzie indziej, odbijano gdzie indziej, co powodowało rozsypywanie się czcionek i konieczność ponownego składania, składający przez kilka dni nie opuszczali drukarni i t.p.), drukarnia w dn. 25. 10. 1884 r. po półrocznym istnieniu, wpadła w ręce żandarmów.

Stanowiło to bardzo dotkliwy cios dla partii i ruchu socjalistycznego. Nie zrezygnowano mimo to z wydania numeru szóstego pisma. Złożony do tego numeru materiał przewieziono z Warszawy do Łodzi, gdzie miał być drukowany. Materiał ten jednak wpadł w ręce żandarmów.

W krótki czas później założono w Warszawie nową, trzecią z rzędu drukarnię a to dzięki wysiłkom Marii Bohuszewiczówny i Michała Manczewicza. Mieściła się przy ul. Siennej 91. Jej głównym zadaniem miało być wykonanie 6 numeru „Proletariatu”. Kiedy przeważna część pracy była już wykonana i ta drukarnia wpadła w ręce żandarmów. Jeszcze przedtem zdołała omawiana drukarnia wydrukować statut organizacyjny partii, ostrzeżenie pod adresem fabrykantów, obchodzących się z robotnikami i t.p. Jednocześnie ukazwały się publikacje partyjne, wykonywane hektograficznie, m. in. broszurki „O propagandzie”, „O kryzysach”, oraz o „Kapitałach”.

Nawiązując do poprzedniej wzmianki o tzw. odezwie łódzkiej oraz o przewiezieniu do Łodzi złożonego materiału do 6 numeru pisma pt. „Proletariat”, godzi się zaznaczyć, iż Łódź łącznie z okragiem, stanowiła po Warszawie najważniejszy ośrodek działalności „Proletariatu”. Czy w Łodzi jednak znajdowała się w dobre istnienie tej partii nielegalna drukarnia? Na wspomnianej, w dniu 22 września 1883 r. wydanej odezwie, znajduje się wzmianka, że owa odezwa została wydrukowana w łódzkiej drukarni „Proletariatu”. Mogło tak być i mogło tak nie być, gdyż często podawano fałszywe miejsce wykonania druku, celem zmylenia śladów. Ponadto jeden ze zdrajców-donosicieli wskazał wladom adres tajnej drukarni w Łodzi, lecz pod wskazanym adresem jej nie znaleziono. Może ów zdrajca-donosiciel zmyślił swe zeznania, może drukarnie zdołano na czas przeniesić-gdzie indziej. Poza tym jeden z aresztowanych proletariatyków zalał się i zeznał, iż partia zamierzała założyć w Łodzi drukarnię. Przy okazji wreszcie jednej z wielu przeprowadzonych rewizji, znaleziono trochę cyfonek. Jeżeli weźmie się jeszcze pod uwagę fakt przewiezienia do Łodzi złożonego materiału do 6. numeru pisma, to nasuwało by się przypuszczenie, że w Łodzi istniała naprawdę tajna drukarnia partyjna. Z drugiej jednak strony nie wiemy o żadnym druku, któryby został wykonany w drukarni łódzkiej, poza ewentualnie jedną jedyną, wspomnianą poprzednio odezwą z 1883 r. Co się tyczy innych jeszcze miast, to wiadomo, że czyniono starania o założenie drukarni partyjnej w Wilnie. Nie wiadomo natomiast, jaki był wynik tych starań.

W ogólnej działalności partii „Proletariat” w dziedzinie publicystycznej, główna rola przypadała owym 5 numerom pisma pn. „Proletariat”, wydanych na przestrzeni niespełna 9 miesięcy (15. 9. 1883 — 1. 5. 1884). Partia zdawała sobie z tego sprawę. Wyznaje to wspomniany poprzednio Gostkiewicz we „Wspomnieniach proletariatyckich”: „Wiele było radości i dumy z okazji ukazania się własnego pisma... Nie w tym dziwnego, zresztą, skoro poza trudnościami natury technicznej, musiano zwalczać trudności redakcyjne. Odczuwano bowiem dotkliwie brak w kraju autorów. Kiedy np. miano redagować materiał do numeru pierwszego pisma, jego redakcja stanowił sam jeden Waryński. Niemal w ostatniej chwili przyszedł mu z pomocą Edmund Płoski. A kiedy następnie zredagowali materiał do numeru szóstego, to jeszcze przed jego wydaniem, zostali uwiezieni. Sytuację uratowała grupa młodzieży, która przybyła do Warszawy ze studiów w wyższych uczelniach rosyjskich. Na ten temat donosi Kunicki przebywającemu w X pawilonie Waryńskiemu: „...brak tylko straszny sił literackich... teraz z wielkimi trudnościami możemy wydawać numer raz na miesiąc...” („Z pola walki” Nr 1).

„Proletariat” zapoczątkował „nowy typ pisma: tropienie i szwarcowanie bibuły, kratające z rak do rak, jak ewangelia nowej wiary, nadełdowanej dynamitem nowego światopoglądu, godzącej w stary świat całym pociskiem drukowanego słowa, bibuły spisywanej w zakonspirowanych lokalach przez szczerpe grono redakcyjne zawodowych rewolucjonistów, składanej przez niefachowych techników partyjnych w najbardziej fantastycznych warunkach, odbijanej za pomocą prymitywnych maszynek drukarskich na papierze z trudem zdobywanym, wywożonej z drukarni z narażeniem życia, kolportowanej z narażeniem wolności, odczytywanej aż do zupełnego zniszczenia i papieru i druku, przechowywanej z pietyzmem, bibuły, która stanowiła zupełne przeciwieństwo rzymskiej gazety, tworzonej w pośpiechu, nowoczesną techniką, dla zysku, obojętnej już po przeczytaniu, zawadzałej już nazajutrz... Pięć numerów „Proletariatu” — oto początek pierwsze ognio w długim łańcuchu prasy proletariackiej”.

Wszystkich 5 numerów posiada tę samą planszę tytułową, pod którą znajduje się m. in. hasło: „Swobody, Fabryki i Ziemi!” Na wszystkich pięciu numerach podano, jako miejsce druku — drukarnię partyjną. Treść numerów rozpadła się na dział organizacyjny (odezwy i komunikaty Komitetu Centralnego, ostrzeżenia przed podejrzanymi o zdradę członkami partii, okresowe sprawozdania kasowe, wiadomości o rewizjach i aresztowaniach i t.p.), dział kroniki ruchu robotniczego (przegląd krajowy, przegląd zagraniczny), dział literacki oraz dział artykułów redakcyjnych (rozprawowe, o posunięciach politycznych i t.p.).

Korman w „Kronice ruchu rewolucyjnego w Polsce” wskazuje, że wśród druków, które wydała partia „Proletariat”, pismo „Proletariat” jest szczególnie ważne, nie tylko dlatego, że było pierwszym, krajowym, nielegalnym pismem robotniczym, nie tylko dla tego, że przechowywało się w kilku zaledwie egzemplarzach, nie dlatego też, że tyle wysiłku i ofiar pochłonięło i nie dlatego nawet, że stało się już legen-

dą, ale głównie dlatego, że ono — obok odezw — powstawało w ogniu walki, bezpośrednio w terenie, na gorąco, niezafalszowane ani zniekształceniem perspektywicznym, ani emigracyjną tęsknotą i dlatego jeszcze, że ono jedynie zawiera — obok artykułów socjalistycznych inteligentów — literatów partyjnych — bezpośredni głos masy robotników, walczących w szeregach pierwszej socjalistycznej organizacji o wielką sprawę sprawiedliwości społecznej. Dlatego też pismo „Proletariat” jest jedną z nielicznych relikwii polskiego socjalizmu, drogą wszystkim kierunkom i wszystkim odłamom polskiego ruchu robotniczego”.

Pismo „Proletariat”, służące potrzebom propagandy krajowej, nie czyniło zadość potrzebom partii o innym charakterze. Z tego też względu partyjny plan prasowy przewidywał równoczesne wydawanie trzech pism. Plan ten urzeczywistniono dopiero w r. 1884. Tak, wznowiono wydawnictwo zagranicą „Przedświt”, który nie wychodził od października 1883 r. Ponadto założono, również na emigracji, nowe pismo pn. „Walka Klas”. Ten oficjalny organ partii o charakterze teoretycznym, wychodził od maja 1884 r. Oba te, na emigracji wychodzące pisma, miały wspólną redakcję i znowu dla partii stała się aktualna kwestia zorganizowania „bibuły” przez granicę. Wymagało to wielkiego nakładu wysiłków i pieniędzy, gdyż przemysłnicy, zwłaszcza w Kieleckim, żądali wysokiej zapłaty. Było też z przemysłem związane duże ryzyko. Np. jednego razu o mało co nie przepadł na dworcu we Wrocławiu cały transport bibuły, ponieważ Kon nie poznał Kunickiego, który „z czarnego przemawiał na ten rygi”. Mimo to wszystko, akcja wydawnicza „Proletariatu” osiągała znaczne rozmiary, skoro podczas rewizji w Warszawie wpadło w ręce żandarmów w jednym mieszkaniu 10 tysięcy broszur i odezw rewolucyjnych.

Przez pewien okres czasu, w następstwie silnych represji, akcja publicystyczna partii była słaba. Wówczas posługiwała się ona wyłącznie wydawnictwami, które ukazywały się zagranicą. Zwrot ku lepszeniu nastąpił w 1887 r. Wznowiono wówczas akcję publicystyczną w kraju. Z początku stosowano znów produkcję hektograficzną, ponadto litograficzną. Tak było zwłaszcza na przestrzeni lat 1883—1891. Wydano wówczas m. in. Kulczyńskiego odczyt o anarchizmie, Kautskiego „O podziale bogactw w przyszłym ustroju”, „Wybór poezji dla robotników”.

Z biegiem czasu założono w Warszawie tajną drukarnię. Jej mała sprawność nie pozwalała na wydawanie pisma. Zdołano tam zaledwie wydrukować parę odezw i broszurkę majową w 1891 r. W maju następnego roku, partia nie mogła wydać nawet broszurki majowej.

W owej dobie „ciężej akcji wydawniczej” przeniósł się z Warszawy do Rygi, Tam, na przestrzeni lat 1888—1891 wydano kilka broszur hektograficznych, m. in. Bebla „Socjalizm a religia chrześcijańska” i „Społeczeństwo socjalistyczne” oraz Engelsa „Ludwik Feuerbach i upadek niemieckiej filozofii klasycznej”. Fakt o dużej doniosłości stanowiło sprowadzenie w jesieni 1891 r., z Berlina do Rygi drukarni wyposzczonej w maszynę. W tej drukarni, pierwszej tego rodzaju na usługach akcji publicystycznej partii „Proletariat”, wykonano kilka broszur. Praca omawianej drukarni trwała do wiosny 1892 r., kiedy to działacze ryscy przenieśli się do Warszawy.

Skonfiskowanie w Warszawie drukarni oraz zamknięcie w Rydze drukarni, przypada na końcówkę już okresu istnienia partii „Proletariat”. Po upływie bowiem niewielu miesięcy, na podstawie uchwały zjazdu partyjnego, powstała PPS i wydawane z jej ramienia w kraju pismo pn. „Robotnik”.

W poprzednim numerze (4). „Kuznicy” z dnia 4 lutego 1946 r.: Józef Chłasiński — Inteligencja polska w świetle swojej genealogii społecznej. Jerzy Pański — Strawa norymberska. Stanisław Loria — O organizacji współpracy Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu. Stefan Zółkiewski — Próznowanie nad „Kapitałem”. Ila Erenburg — Vichy. Jan Huszcza — Dzień zadusny w Miedzylesiu — Pieśń o chlebie — Płock. Stefan Otwinowski — Inna cyganeria. Feliks Babel — 19 stycznia 1945 r. Maciej Żurawski — Filologia romańska w odbudowie. Za granicą — Jan Szczepański. Kronika gospodarcza. — N. G. Nauka, filozofia, religia — krótka polemika — Stefan Zółkiewski. Rozmaitości — Grzechy „Kuznicy” — Adam Ważyk. Korespondencja — O nowe ideologie w malarstwie — Mieczysław Pawełski. „Lorenaccio” w teatrze Gastona Bally — Jan Kott. Przegląd prasy — p. Na marginesie artykułu Jerzego Zagórskiego — Mieczysław Jastrun. Wstawił w bibliotekach moskiewskich — Paweł Elfinger, Noty.

Nieporozumienia teatralne

Nieporozumienia. Jest ich wiele, zwłaszcza na odcinku i zw. upowszechniania kultury. Nie ma na przykład bardziej wytartego hasła, niż to, tak często powtarzane: „teatr dla mas”. Przy czym słowo „mas” — „masa” — ma tu oznaczać naród, jako taki, lud, jako taki, i w ogóle wszystkich, oprócz tych, którzy dotychczas stale do teatru chodzili i chodzą nadal. Albowiem „mas” to właśnie ci, którzy dotychczas nie mogli uczęszczać i którym trzeba udostępnić, jak to się pięknie mówi — przed którymi należy nareszcie otworzyć i zw. złote wierzaje sztuki.

Krytycy i znawcy teatru grmą, żeby teatry grały sztuki odzwierciedlające nową rzeczywistość, że trzeba zająć postawę wobec przemian chwili bieżącej, że Słowacki, Fredro, Zapolska — to nie jest teatr na dziś. Kierownicy teatrów wołają głosem wielkim: dajcie nam, obywatele literaci owe sztuki, które zajmują postawę wobec, stwórzcie ten nowy repertuar — będziemy to grać! A tymczasem grają Słowackiego, Fredrę i Zapolską i — dobrze robią, a często gęsto nieodkuszzonego Bałuckiego i „zreczenie aktualnego” Niewiarowicza i wtedy — źle robią.

A publiczność wiele się nie zastanawia i chodzi do teatru na wszystko, bo właśnie nie chce chodzić teraz do teatru na wszystko i mimo wszystko. A z lamów prasy znów podnoszą się głosy o poziom, o artystyczność, i znów brzmi najsłodsza nuta — troska o widza, o nowego widza. „Puste frazysy i pełne kasy... I wreszcie to najgorsze, co może być — fałszywe wnioski... Jeżeli chodzi, to znaczy, że się podoba, jeżeli się podoba, to widocznie, albo jest dobre przedstawienie, albo jest bardzo dobra i miła publiczność, że jej wymagania nie są zbyt wyszukane. Publiczność... Właściwy smak i trafność oceny publiczności... Gdzie i kiedy miał się kształtować? Czy na okupacyjnych widowiskach, czy na wiekoletniej przerwie w dziedzinie konsumpcji sztuki, czy też może mamy wymagać bystrości oceny od tych, którzy przed wojną mieli lat dwanaście, a teraz stanowią już grupę uprawnioną do bywania w teatrach młodzieży? Zabawa jest nieostrożna i nie zawsze rzetelna. Głód rozrywki, chęć oderwania się od przykrych wspomnień i niełatwej walki o miejsce w nowej rzeczywistości, tworzą fałę, znajdującą się w stanie ciągłego przypływu. A magiczny kraj rzeczywistości scenicznej, tej niewydarzonej, jedynej, zaklętej w czar wizji teatru — działa kusząco i często zwodniczo. I dla tego, jeśli pod puste frazysy chcemy podstawić jakieś rzeczywiste wartości — jedna tylko jest droga. Wytwarzaj rzeczy możliwe najlepsze w dziedzinie kultury i sztuki. Nie wykorzystujmy tej niemożliwej sposobności obserwowania tych przebiegów w ściśle zamkniętym gronie, w odizolowanej grupie społecznej, jaką stanowił obóz jeńców wojennych. Wprawdzie warunki były o tyle szczególne, że przy istnieniu jedynego teatru — dowolność wyboru ze strony widza była ograniczona. Ale nie trudno było zauważyć, że kiedy po kilku udanych artystycznie widowiskach jakiegoś jednego następnego było chybione, frekwencja spadała widocznie. I jeśli komuś narzucałby się argument, że teatr w izolowanej grupie społecznej miał powodzenie, bo stanowił monopolistyczny ośrodek imprez, to w wypadku złej frekwencji nie trudno odwrócić ten argument. Na złe przedstawienie publiczność nie przychodziła, mimo, że był tylko jeden teatr. I przyczyna mogła być tylko jedna — wyrobienie smaku artystycznego. I dla tego przy ogólnym wysokim poziomie artystycznym widowisk teatralnych na danym terenie, jakieś korsarskie wypadki zorganizowanej szmiry przestają być groźne.

Oczywiście zagadnienie było by proste, gdyby w danym ośrodku istniało pięć dobrych teatrów i jeden zły. Wtedy ten zły byłby skazany na niepowodzenie. Ale jeżeli działają np. dwa teatry — jeden dobry i jeden zły, i zdezerentowany, niewyrobiony artystycznie widz nie zdaje sobie sprawy, kiedy znajduje się w jakim teatrze... I jeżeli w tym samym ośrodku nie istnieje autorytatywna krytyka teatralna, która by służyła pomocą i rażą jak wtedy wybrnąć z tak zawilej sytuacji?

Wtedy wydaje mi się, narzuca się konieczność stworzenia jakiejś nadrzędnej instancji artystycznej, która by wydawała właściwe opinie, wyróżniając dobre osiągnięcia artystyczne, a jednocześnie ganiąc niedobre. I wtedy wiedzielibyśmy przynajmniej, że wkraczamy na drogę, może powolną, ale za to pewną postępu. I wtedy walka o zdobycie nowego widza nabrałaby dopiero społecznego sensu.

Ale atrakcyjność i wysoki poziom widowiska teatralnego to dopiero jeden aspekt w akcji upowszechniania kultury teatralnej. Drugi

jest wyraźny i oczywisty i posiada czysto go spodarczy charakter. Wysokość cen za bilety. W tej chwili znam tylko jeden teatr w Polsce, który niemal natychmiast po premierze oddaje połowę sali do dyspozycji Związków Zawodowych¹⁾ z tym, że bilet w pierwszym rzędzie kosztuje zaledwie 25 zł.

Teatr ten nie może wprawdzie płacić swoim aktorom wysokich gaź, ale za to ma pełne prawo mówić o zdobyciu nowego widza. Inne teatry uważają ciągle udostępnienie widowni dla robotnika za uciążliwy serwitut budżetowy. I w rezultacie stanowią miejsce rozrywki dla grupy dużo zarabiających amatorów najdroższych miejsc po złotych 100 i więcej. O ile można by zrozumieć obawy niektórych teatrów o równowagę budżetu przy systemie szeroko stosowanych żniżek dla pracujących, o tyle zagadkowo przedstawia się sprawa z kinami, będącymi, jak wiadomo, pod zarządem państwowym.

Ostatnio wprowadzono w kinach znaczną podwyżkę cen za bilety z tym, że bilety zniżkowe można nabywać pod wskazanym adresem w określonych godzinach. Tu już jest coś wyraźnie nie w porządku, gdyż ta metoda biurokratyzacji tak popularnej rozrywki, jaką jest kino zdecydowanie nderza w interesy słabszych ekonomicznie widzów, a więc przede wszystkim robotników. Wydaje mi się, że kina przy swoim ogromnym aparacie organizacyjnym (bo przecież nie produkcyjnym, no bo niby co, gdzie i kiedy?) mogłyby zdobyć się na bardziej żywocenne i społeczne rozwiązanie kwestii upowszechnienia filmów.

I znów przepiękne hasła „kino dla wszystkich”, „po pracy odpoczywaj w kinie” itd. stały się tanim, propagandowym chwytym, nie przynoszącym zaszczytu obecnym upaństwowionym potentatom filmowym, a przynoszącym niewątpliwie szkodę społeczną.

Wracając do spraw teatru, należy stwierdzić że zagadnienie upowszechnienia teatru, zdobycia nowego widza, nie ogranicza się tylko do spraw cen biletów i podniesienia poziomu artystycznego widowisk. Dobre widowisko warto zobaczyć, tanie widowisko — można zobaczyć. Dobre i tanie można i warto, jeśli chodzi o demokratyzację sztuki. Musimy również dbać o to, ażeby udostępnić nowemu widzowi treść widowiska. Nowy widz może i ma pełne prawo wielu rzeczy nie rozumieć, a naszym obowiązkiem jest ułatwić mu zrozumienie wszystkiego.

Nie mamy repertuaru, którego wszystkie walory potrafiłyby przemówić do wszystkich w sposób spontaniczny, a w każdym bądź razie częściej gra się sztuki, których zrozumienie nie dla wszystkich jest sprawą prostą. Argument że nie chodzi o to w teatrze, żeby zrozumieć, ale o to, żeby być pod urokiem sztuki, żeby

ją przeżyć w miarę własnych możliwości artystycznej wrażliwości, nie jest dla mnie przekonujący. Chodzi o to, żeby i przeżywać i rozumieć, bo jeśli rozumiemy więcej, to przeżywamy głębiej, i wtedy radość z dzieła sztuki jest pełniejsza; jeśli chcemy demokratyzować sztukę, to starajmy się, żeby odgadnięcie jej tajemnych zawłości, jej zakamarków warsztatu artystycznego było możliwe dla wszystkich, a w każdym razie dla coraz to większej ilości odbiorców. Wiem, że pewnego rodzaju kondygnacyjność sztuki udostępnia różnym odbiorcom — różne jej szczegóły. Ale upowszechnienie sztuki nie polega na tym, żeby odciąć właśnie te górne szczeble, ale na tym, żeby życzliwy przewodnik prowadził niewtajemniczonych na te wyższe i najwyższe. To wcale nie ma znaczyć, żeby nie miało być tutaj labiryntów, ale, żeby ludzie przestali po nich błądzić. Realizacja widowiska teatralnego musi być tak jasna, żeby niewtajemniczony odbiorca nie odczuwał ani niepokoju, ani onieśmienia człowieka, postawionego wobec zbyt trudnych zagadnień. Nie obawiamy się ani popularnych wprowadzeń w formie krótkich prelekcji, ani tłumaczących artykułów w pismach. Powiedzmy sobie to szczerze, że zarówno nasze pisma literackie, jak również i pisma codzienne w swych literackich dodatkach nastawiały się na dość wysublimowany, górny ton. To pięknie, że specjalne, wybrane zagadnienia znajdują w prasie literackiej często tak głębokie odbicie, ale nie wolno nam zapominać o tych wszystkich, dla których utarło się tak niedemokratyczne określenie, jak — „masa”, — a którzy stawać po prostu wielką grupę społeczną nowego odbiorcy dóbr kulturalnych, o którego trzeba walczyć i o którego walczyć warto.

Kiedy czytam nasze obecne wydawnictwa literackie, wydaje mi się często, że są one bodaj bardziej elitarystycznie nastawione, aniżeli przed wojną. Starcia czysto personalne i zawłóść wypowiedzi z pewnością nie stanowią momentu atrakcyjnego dla tysięcy „nowych czytelników”, o których jeden „Czytelnik” niejednokrotnie wyrażał swą troskę. Oczywiście, że nie chodzi mi tutaj o obniżanie poziomu. Ale o pewną życzliwą dbałość jeśli już nie o wszystkich, to chociaż o to, żeby nie uwzględniać wyłącznie interesów wybrańców. A znów niestety spotykamy te zapożyczone z „Wiadomości Literackich” chwytły, dostępne dla nielicznej grupki wtajemniczonych bywalców pewnej redakcji, pewnego domu, czy też pewnej kawiarni.

A przecież, gdzie są te inne pisma, te popularne, które piszą zupełnie dostępne, które tłumaczą zagadnienia, nie przedstawiające może dla pewnej grupy jakiegokolwiek trudności? Dla czego ma być wstydem w rocznicę szopenowską, czy też mickiewiczowską — wy-

drukować, chociażby w wielkim skrócie, po prostu — życiorys artysty? Zwłaszcza dzisiaj i właśnie teraz, kiedy nie ma książek, bibliotek, zdewastowane, stan wiedzy ogólnej, nawet w zagadnieniach najprostszych, zaniedbany i godny najszerzej opieki. Czy jeśli teatr wystawia „Fantazego”, to istotnie w piśmie przeznaczonym dla robotników jedyną wskazówką na temat tego niełatwego utworu to rozważania o byronizmie i schyłkowym romantyzmie?

Należy pamiętać, że artykuł popularny, przystępny dla wszystkich bynajmniej nie obniża poziomu wydawnictwa, w którym się ukazuje, a na pewno podwyższa poziom znakomitej większości czytelników.

Grają sztukę Dickensa, napiszcie coś o Dickensie, jego epoce, czasach i ludziach, a nie koniecznie, a w każdym razie nie tylko roztrząsając zagadnienie neorealizmu czy też naturalizmu w prozie literackiej ubiegłego stulecia.

A jeżeli ktoś już decyduje się wreszcie na napisanie krytyki widowiska teatralnego, niechże zrezygnuje z tak nęcających widocznie żartów personalnych, niechże zechce pomyśleć oddzielnie o sztuce, osobno o widowisku. Niech w widowisku stara się odszukać myśl reżysera, inscenizatora plastycznego, niech łaskawie oceni trafność obsady, niech usiłuje zastanowić się nad środkami wyrazu gry aktora, niech propozycji aktora, którą często może, czy powinien nawet zwalczać, przeciwstawi własną koncepcję. A najważniejsze niech łaskawie nie poświęca własnego i czytelników czasu dla jakiejś jednej czy kilku blabachy złośliwości... I nie dlatego, że to mogło by sprawić przykreść twórcom widowiska, ale dlatego, że szkoda na to dzisiaj czasu. Wydaje mi się, że teraz najważniejsza jest wartość społeczna naszych wysiłków w dziedzinie sztuki. Ta wartość nie musi tkwić zawsze w społecznej tendencji dzieła sztuki. Czasem widzimy ją w artystycznej sposobności wypowiedzi, czasem w treści ideologicznej — ale właśnie jej musimy szukać dzisiaj przede wszystkim. Bo wartość społeczna powinna być obecnie miernikiem naszych wysiłków i osiągnięć w dziedzinie upowszechniania kultury.

Bardzo wielu ludziom mamy dzisiaj bardzo wiele ważnych rzeczy do powiedzenia i do pokazania i chcielibyśmy bardzo wielu ludzi bardzo wielu ważnych rzeczy nauczyć. I w tym tkwi wartość, celowość społeczna upowszechniania treści kulturalnych. I dlatego tutaj nie powinno być miejsca na nieporozumienia.

Kazimierz Rudzki.

¹⁾ Mowa o Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi (przypisek redakcji).

Nie odstraszać ludzi od techniki

Z całą życzliwością i uwagą śledzimy prace Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici”, uważając go za ważny odcinek walki o aktywizację wsi polskiej, o wychowanie młodego pokolenia chłopów na czynnych i świadomych współbudowniczych demokratycznej Polski.

„Wici” zwłaszcza w okresie międzywojennym wychowywały zastęp oddanych bojowników demokracji, wykuwały chłopską ideologię, szerzyły ideały wychowawcze, które obroniły znaczną część chłopiejskiej inteligencji przed pójściem na obcą pańską służbę i wskazały im drogę działania w ramach i dla dobra swojej warstwy.

Życząc „Wiciom” jak najszerzego rozwoju i popularyzacji ideałów poświęcających im pracę — zwrócić należy uwagę na pewne nieporozumienia, „przegięcia pałki”, które mogą w konsekwencji stać się niebezpieczne.

Do tych niebezpiecznych tendencji należy przejawiająca się często skłonność do wiejskiego portykularyzmu, do patrzenia na szereg fundamentalnych zagadnień wyłącznie pod kątem wąsko (i przez to źle) rozumianych interesów wsi.

Przyjęta na ostatnim zjeździe „Wici” deklaracja ideowo-programowa przeciwstawia się rozwojowi nauk przyrodniczo-technicznych i mechanizacji, im przypisując odpowiedzialność za mordercze wojny⁽¹⁾.

Wprawdzie słuszne jest twierdzenie, że postęp techniczny powoduje, iż wojny stają się coraz bardziej mordercze, ale przyczyną wojen nie tkwi w technice: aby się o tym przekonać wystarczy przejrzeć stronicę historii starożytności czy średniowiecznej. Kawał drzewa zakończony żelazem był dostatecznym osiągnięciem technicznym, aby przez tysiąclecia spowodować tysiące wojen, w rezultacie których ginęły państwa. Ostatnia wojna szczególnie winna skłonić do szukania gdzie indziej przyczyny wojen.

Deklaracja „Wici” głosi antyurbanizm i antyindustrializm.

„Oderwany od ziemi system w miastach olbrzymich, sztucznych skupisk ludzkich wynaturzenie to potęguje. Zatrącił się sens życia ludzkiego”.

Postulowanym ideałem jest środowisko wiejskie, które „najmniej uległo wypaczającym wpływom mechanizacji”, gdzie człowiek „nie odczuwa na sobie mechanicznego przynętu materii”. Stamtąd — mówi deklaracja — ma się przyjść odrodzenie cywilizacji.

Zdaje się, że rozumiemy szlachetne intencje — ale żaden rozsądny człowiek nie może widzieć w tych sformułowaniach nic innego jak naiwne nieporozumienie. Dosłownie znaczy to nic innego, jak apologetę zacofania gospodarczo-technicznego wsi polskiej; znaczy to dążenie do utrzymania niebawale niskiego poziomu życia gospodarczego i kulturalnego (duchowego) chłopca. Dosłownie znaczy to głoszenie hasła zacofania gospodarczego kraju.

Jest jakiś śmieszny lęk przed amerykańizacją w kraju, w którym znaczną część chłopów cepami młóci zboże tracąc rocznie miliony robotników — dni na bezsensowną, na pewno nie podnoszącą duchowego rozwoju pracę. W kraju, w którym setki tysięcy kobiet trudni się ogłupiającą pracą przy kołowrotku czy wrzecionie, w kraju, w którym na znacznych obszarach poziom kultury rolnej niewiele odbiega od czasów pańszczyźnianych, w kraju wreszcie który dzięki słabości i zacofaniu gospodarczemu, dzięki słabemu rozwojowi technicznemu nie mógł przed 1939 r. zapewnić sobie gospodarczej a w konsekwencji politycznej suwerenności.

Jeśli „Wici” chcą polskiego chłopca wychować w duchu niechęci do technicznego postępu — to źle rozumieją swoje główne zadanie i źle rozumieją interes i potrzeby wsi. Tak pojęty agraryzm to narzędzie nie postępu, lecz hamowanie rozwoju (duchowego) wsi polskiej.

Że stanowisko wyrażone w deklaracji „Wici” jest naiwne i fałszywe, wykazał (uważnie mu obserwatorowi) ten sam zjazd „Wici”. Oto jedna z uchwał domaga się równowagi cen artykułów rolnych i przemysłowych, podkreśla, że „rentowność pracy rolnika... pozostała poważnie naruszona olbrzymią rozwartością nożyc cen na niekorzyść rolnika”, domaga się od rządu zmiany tego stanu rzeczy.

Jedna uchwała żąda uprzemysłowienia wsi, deklaracja zaś mówi: „w szczególności należy rozbudować przemysł rolniczy” jako „oparty o naturalne zasoby kraju”.

Nie podejmując wszystkich zagadnień jakie wynikają z przytoczonych zdań stwierdzamy tylko:

1. Aby dać wsi tanie towary przemysłowe, należy rozbudować przemysł, wykorzystać wszystkie zdobycze techniki. W kraju o takiej strukturze gospodarczej, jaka panowała w Polsce przed 1939 r. cena towarów przemysłowych musiałaby być niekorzystna dla rolnictwa.

2. Budowa przemysłu opartego o zasoby miejscowe to przede wszystkim budowa przemysłu ciężkiego, wykorzystującego zasoby węgla, rud i źródeł energii.

3. Budowa przemysłu rolniczego — przede wszystkim, może być jedynie wynikiem rozwoju naszego przemysłu ciężkiego, maszynowego, w przeciwnym wypadku musiałaby być uzależniona całkowicie od zagranicy — ze wszystkimi gospodarczymi i politycznymi konsekwencjami.

4. Rząd chcąc zadość uczynić wezwaniu Zjazdu „Wici” winien cały nacisk położyć na rozbudowę przemysłu, na industrializację kraju i na szczęście w tym kierunku idzie.

Trudno Koledzy Wiciarze — dobra materia, zdobycze techniki, nie dadzą się tak prosto oddzielić od dóbr duchowych. Historia uczy, że umiejętność czytania towarzyszy jak cień postępowi technicznemu.

W wytyczaniu kierunku wychowawczego młodemu pokoleniu chłopów Zjazd „Wici” popełnił poważny błąd. Popelniał błąd przy ocenie punktu w jakim znajduje się Polska w swym ogólnym rozwoju. Błędy te należy naprawić, aby się nie zemściły, aby nie przyniosły skutków sprzecznych z intencjami autorów deklaracji.

Chyba nikt dziś nie będzie twierdził, że siła wsi polskiej tkwi w jej niskim poziomie i zacofaniu.

Kwiek

NIE DOŚĆ JEST CZYTAĆ „KUZNICĘ”
TRZEBA JĄ KUPOWAĆ I PRENUMERO-
WAĆ. ZAPRENUMEROWAĆ „KUZNICĘ”
MOŻNA W KAŻDYM URZĘDZIE POCZ-
TOWYM, PRENUMERATA KWARTALNA
Z PRZESYŁKĄ POCZTOWĄ WYNOŚI
75.

Rozmaitości

Wyjście z partyzantki

Atakuję i będę atakował Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz inne czynniki rządowe za przesadzanie stosunek do ludzi sztuki. Sztuki uprawianej w naszych oczach polityki przez długie lata będą się kładły ponurym cieniem na całym życiu artystycznym. O co idzie? O majątek związków artystycznych, o racjonalną pomoc państwową, o podatki i słonie? Idzie o humanistyczne przedstawienie orientacji artystycznej wśród ludzi sztuki. O wyprowadzenie ich ze stanu partyzantki.

Używam tego określenia w przenośni i dość niechętnie. W ostatniej wojnie partyzantka przybrała formę zorganizowanych działań zuchwanych, ale partyzanci zawsze działali w rozdrobnieniu, w ukryciu, nie są regularnym wojskiem. W tym sensie przedwojenni ludzie sztuki, niepokodzeni z podstawowym układem ówczesnych stosunków społecznych, zachowywali się jak partyzanci. Kryli się w gęszczach swoich norm formalnych, które nie były dostępne dla odbiorców, bo nie miały cech obiektywnych, okopywali się we własnym wyodrębnionym świecie. Zawilość formy i pogarda dla czytelnika — to nie są rzeczy tak odległe od siebie jakby się chciało nam wydać. Długość o szeroki zas. działania nie usłuchetniała artysty, nie była jego daniem moralnym. Kto wie, czy taki nie był urywista, karierowiczem, spryciarzem. Wielki nakład książki dawał wyłącznie kupiecką satysfakcję. Nakład 3.000 egzemplarzy dawał tytuł do gorzkiej dumy. Pogarda dla odbiorcy wynikała z pogardy dla istniejących stosunków. Powiecie, że niestasznie. Ale nie zmieniało tego faktu, który częściowo — podkreślam, że tylko częściowo — tłumaczy zawilość formy i stylu. Partyzant artystyczny strzelał ze starej fuzji do nie bardzo określonego celu. Są fuzje, które z biegiem czasu dzikawczą. Poza tym po całych dniach wydylubiał w korze drzewnej swoje imię. Mówimy, że człowiek sztuki odwracał się od świata rzeczywistego, że było to rezygnacja z dążenia do poznania prawdy. Mówimy, że ta sama tendencja, która wywołała konwencjonalizm filozoficzny, skłaniała ludzi sztuki do kreowania własnych norm i własnych światów. Mówimy słusznie, ale nie zapominajmy, ile w tym było historycznej roli partyzanta. Stąd ten przedziwny spłot, że ludzie, którzy w sferze swoich przekonań byli związani z postępem społecznym, w poezji gonili za wyrubowanym stylem, w prozie uciekali od wszystkiego co straci realizmem, w malarstwie przekraczali ostatnie granice norm obiektywnych. Nie widzę w tym żadnego powodów do chłuby, ani asumptu do potępienia.

Widzę w tym po prostu fakt historyczny, albo raczej fakt należący już do historii. Karta się odwróciła, w dobie zwycięstwa demokracji, partyzanci artystyczni, „marki” sfery twórczej, wracają do społeczeństwa. Nie dzieje się to na zawołanie i nie odbywa się bez zamętu, w poszczególnych wypadkach chaze się, że ten i ów zasiedział się w swoim lesie, że strzela ze zdziwaczalnej fuzji. Historycznie — dola partyzanta skończyła się dla ludzi sztuki, trzeba wyznaczyć inne miejsce w społeczeństwie.

Ludzie sztuki chcą być humanistami. Są tacy, którzy wolają, że byli nimi od kołyski. Tym gorzej — nie mającej zaufania do ludzi sztuki, którzy nie przeszli przez partyzantkę w tamtym okresie. Do zrozumienia dzisiejszego okresu ci są najmniej predysponowani. Ludzie sztuki chcą być humanistami, myślą o ludziach, którzy pracują i czytają, jedzą albo nie dojadają, ale chcą czytać. Bądźcie też humanistami w stosunku do ludzi sztuki. Nie mówcie im o przemianie postawy duchowej, nie zmieniając ich pozycji społecznej, materialnej, moralnej, bo taki humanizm będzie przelewaniem z pustego w próżne. W sensie gospodarczym i społecznym malarz, literat, muzyk, jest w sytuacji chałupnika. Na to aby ją zmienić trzeba coś do niej dodać. Czy opłaca się ją zmieniać — to sprawa kalkulacji społecznej. W Ministerstwie źle kalkulują. Nic się nie zmienia, jeśli ten czy ów dostanie zasiłek za rzekome zasługi czy z tytułu rzekomego ubóstwa — według uznania jakiegoś bajratu. Zmieni się wiele, jeśli państwo uzna zasadę finansowego popierania zawodów artystycznych. Nic się nie zmienia, jeśli Ministerstwo będzie się otaczało pierścieniami ciał doradczych, wiele się zmieni, jeśli zwiazki artystyczne będą miały własny majątek. Nic się nie zmieni, jeśli praca artystyczna będzie zrównana z „zawodem wyzwoleńcem”. Po dawnemu będą tytułowali literata „redaktorem”, aby zaszczylić go jakimś godziwym tytułem w społeczeństwie. Dajcie ludziom sztuki takie miejsce w społeczeństwie, na jakie zasługiwali by prawdziwi humanisci, a wczorajsi partyzanci artystyczni będą musieli stać się nimi. Przeszłość wydziwiać i wlewać się w sporach czysto technicznych, załatwiać przedwojenne urazy.

Dlatego atakuję i będę atakował Ministerstwo Kultury i Sztuki. Idzie o domy związki i o szacunek człowieka sztuki dla odbiorców. Idzie o podatek od pracy artystycznej, jak również o humanizm treści i formy w sztuce. Idzie o słonie czy cukier, tudzież o dążenie do klasycyzmu.

ADAM WAŻYK

List do Adama Ważyka

Drogi Panie Adamie!

W związku z Pańską potrzebną i nadą krytyką „Kuznicy” — chce parę słów pro domo nostra.

Jedynolitość ideowa „Kuznicy” jest określona dość szerokimi ramami uznawania naukowego poglądu na świat tak jak go wyznacza nowoczesna metodologia, nowoczesne doświadczenie naukowe.

Powtórze za francuskimi mistrzami tow. Szafla — myśleć po marksistowsku to także znaczy myśleć istotnie naukowo.

Rzeczywiście dużym złem w kulturze są nieodpowiedzialne fragmentaryczne koncepcje. Dlatego cenim marksizm — jako zespół twierdzeń pomocnych w poszukiwaniach szczegółowych, bo jednocześnie naukowy i spoisty pozwala uniknąć koniecznego chwytania się przy analizach szczegółowych — byle jakie, niesprawdzonej koncepcji ogólnej. Podsuwa tezy ogólne, poparte spoistą konstrukcją empirycznych wyników szczegółowych, obwarowane poprawnością metodologiczną samej struktury teoretycznej, a więc możliwie najbardziej uprawdopodobnione.

Tym niemniej w „Kuznicy” pisują i nie marksisci.

Uznajemy wszystkie wyniki empiryczne. A bywa tak, że badacz, opierając się świadomie na mylnych założeniach ogólnych, np. neopozytywistycznych, osiąga częściowo wyniki poprawne.

W tych warunkach konieczna kontrola naukowej poprawności i sensowności rzeczy drukowanych jest trudna. Zdarza się niedopatrzności. Zdarza się, że drukujemy rzecz na odpowiedzialność autora, by z nią dyskutować.

Nie uznajemy, co prawda zasady przedwojennych „Wiadomości Literackich”, że każdy autor odpowiada sam za swój artykuł i obok siebie mogą sasiadować sprzeczne opinie, lecz dbając by zasadnicze sprawy poruszane były w sposób zgodny z tendencjami zespołu „Kuznicy”, pozostawiamy musimy pisać wiele swobody, zwłaszcza w sprawach, które są i jeszcze muszą być dyskutowane. Tak należał np. czytać nasze artykuły plastyczne.

Nie jestem wyznawcą redaktorem. I ma Pan rację: nie dopatrzylem w artykule Gotliba wadliwego metodologicznie rozumowa-

nia i fałszywego empirycznie wyniku. Mój błąd!

Inaczej natomiast z artykułem Kuli. I dlatego w ogóle zabieram głos. By czytelnicy wiedzieli, że świadomie, nie przez niedopatrzenie, akceptujemy pewien typ rozumowania.

Artykuł Witolda Kuli był sprowokowany wypowiedzią prof. Dobrowolskiego. Ten ostatni starał się ustalić to co w hitleryzmie jest ponadhistoryczne, właściwie społeczeństwu niemieckiemu i jego ustrojowi społecznemu niejako „z natury”. Dr Kula starał się wykażać, w jakich granicach w badaniach historycznych możliwe jest takie stanowisko, przewidywające tradycyjny w historii opis niepowtarzalnego, jedynego zjawiska. W artykule swoim te granice wskazał. Oczywiście ta uprawniona abstrakcja musi dla swoich celów pomijać wiele momentów istotnych badanego zjawiska. Dlatego badania nie wyczerpuje. Dr Kula nie twierdzi, że hitleryzm to tylko czarizm. Ostatnia nazwa uwydatniała w hitleryzmie to, co się da wyjaśnić przy pomocy pewnego ogólniejszego prawa nauk społecznych. Cała reszta — także istotna — wymaga innych zabiegów racjonalizujących, innych wyjaśnień.

W rozumowaniu dra Kuli nie było błędu metodologicznego.

Nie było także niedopuszczalnego ubóstwa treści i szkodliwej fragmentaryczności. Dotyczyło bowiem to rozumowanie granie uprawnionej w stosunku do zjawisk hitlerizmu abstrakcji historycznej. I to poważne naukowe zagadnienie autor rozwiązał, wydaje mi się, bez większych błędów.

„Kuznica” inoż i powinna z całą świadomością takie prace drukować.

Pełny opis hitlerizmu, trafny naukowo, trafny politycznie, wymowny propagandowo, jest potrzebny.

Ale to nie znaczy, iż z reguły mamy odrzucać poprawne badania szczegółowe. Są one politycznie mniej doniosłe. Tym donioślejsze kulturalnie. W ramach bowiem artykułu można problem szczegółowy rozwiązać metodycznie i oryginalnie. Na tematy ogólne piszemy — zbyt często szablonowo — publicystyczne łatwizny. Agitujemy — nie wychowujemy.

„Kuznica” — jest potrzebne Niech Pan to robi częściej.

St. Żółkiewski

KORESPONDENCJA

Do Redaktora „Kuznicy”

W związku z notatką o podręczniku „Kulępszej przyszłości”, zamieszczonej pt. „Książka dla młodzieży” w „Kuznicy” z 31 grudnia ub. r., pragnę podzielić się z czytelnikami garścią uwag, które nasunęły mi się na tle mojej pracy nauczycielskiej w t. zw. terenie.

W powiecie, w którym uczę, jest na szczęście sporo szkół powszechnych z wyższymi klasami, a w nich liczne zastępy młodzieży opóźnionej z powodu wypadków wojennych, ale bardzo żadnej wiedzy. Niestety do nowego roku szkolnego 1945/46 nie było żadnej lektury czytankowej; stare podręczniki w ogóle prawie nie wchodziły w rachubę. Aż oto we wrześniu pojawiły się „Czytanki dla starszych klas szkół powszechnych i kursów dla dorosłych pt. Kulępszej przyszłości”, przeznaczone w zasadzie dla wypełnienia luk na Śląsku, ale i u nas przyjęte z radością, tym bardziej, że na książkę obejmującą 20 arkuszy druku widniała cena zaledwie 25 zł!

Gdy tylko podręcznik ten się ukazał (co prawda niewiele dotarło egzemplarzy, gdyż — jak słyszeć — Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych wybiły za małą ilość egzemplarzy), został rozebrany przez młodzież, która czytała go z zapartym łchem. Zdziwiło mnie tylko, że gdzie niektórzy nauczyciele przyjął książkę ciepło, przebacując o „propagandzie”, „demagogii” itp. Ponieważ większość kolegów w powiecie należała przed wojną do Chrześ. i Narod. Stow. Naucz. lub do kół oboonowych, doszedłem do przekonania, że widocznie podział tu na nich jakiś zbyt silny zastrzyk. Szukałem potwierdzenia tych przypuszczeń w książce i oto, co stwierdziłem:

Po raz pierwszy pojawił się w wypisach polskich dla szkoły powszechnej materiał beletrystyczny obrazujący w zwartym cyklu (VI „Pracą i walką”) chlubne tradycje demokracji polskiej, jej walkę o wolność narodu i zmagania o społeczne wyzwolenie ludu pracującego. Charakterystyczne są pod tym względem cytanki o Kościusce, o chłope w legionach Dąbrowskiego, o Mickiewcu — wodzu legionu w dobie „wiosny ludów”, o Walerym Wróblewskim, dowódcy z r. 1863 i wodzu Komuny paryskiej, „Wolny najmita” Konopnickiej, urywki z „Kordiana i chłama”, „Pawich piór”, „Słowa o bandosie”, „Ziemni jarzmie”, porywający wyjątek z „Chłopów”, który obrazuje walkę wsi z dworem. Pierwszy „Proletariat” znalazł ilustrację Broniewskiego w „Elegii o śmierci Waryńskiego” oraz w wymownym urywku z książki Próchnika „Idzie i ludzie”, skąd zaczerpnęło również cytankę o pierwszym na ziemiach polskich krwawym święcie pierwszomajowym w Łodzi (1892 r.). Również po raz pierwszy ujrzała młodzież w wypisach polskich tekst tak nabrałych majestatem historii pieśni jak „Czerwony sztandar” i „Warszawianka” z 1905 r. (jest i ta z r. 1830), nadto w popularno-naukowym szkicu zetknęła się z wielkością rewolucyjnej Warszawy. I w innych cyklach pojawiają się podobne tematy, np. „Krwawy strajk na Śląsku” wedle Morenka (cykl II). Razi może też naszych reakcjonistów cykl poświęcony nie doli dziecka proletariackiego, jego żmudnej walce o dostęp do szkoły i oświaty (patrz cykl IV), no i zapewne trzy przygodnie rzuczone cytanki o tragedii Żydów, wśród których wyróżnia się przepiękny wiersz Broniewskiego (w ogóle ten wybitny poeta proletariacki został spożytkowany wydatnie).

„BELLONA”

Grudniowy (12) zeszyt „Bellony” jest w życiu tego wydawnictwa jubileuszowym zjawiskiem. Dwanaście pokazań obłetości zeszytów i dwanaście długich miesięcy naprawde pionierskiej pracy w dziedzinie krzewienia polskiej myśli wojskowej — stanowią dla zespołu redakcyjnego „Bellony” chlubny rzeczywisty dorobek.

Dziś po rocznej pracy w dziele kształtowania się polskiej doktryny wojennej obiektywnie ocenić wypada znaczny wkład „Bellony”, która od pierwszej prawie chwili powstawania Wojska Polskiego na oswobodzonych między Wisła a Bugiem terenach wnosila podstawowe elementy dla renesansu polskiej myśli wojskowej. „Bellona” pierwsza, trzeba przyznać, zapoczątkowała rodzimym, polskim wojskowym ruch umysłowy. Ona przekształciła doktrynerstwo zmurszałych koncepcji przedwojennych, ona od pierwszej chwili swego istnienia rozplanowała jak gdyby program naszej twórczości w zakresie zagadnień wojskowych. I tu tkwi właśnie już zaczątek twórczego wkładu „Bellony”.

Mimo dysproporcji, jaka zachodziła między dysponowanymi środkami a sumą potrzeb, udało się „Bellonie” na przestrzeni 12-miesięcznej pracy stworzyć wiele. By z pracy tej zdać sobie sprawę, by ją naprawde ocenić — trzeba poddać ogólnemu przeglądowi treść rocznika „Bellony”. Z niego dopiero zorientować się można o ciągłej ewolucji pisma oraz wartości, jakie wnosil miesięcznik w polskie umysłowe życie wojskowe.

Prenumerata „Kuznicy” wynosi:

w ŁODZI i na prowincji: zł 25 miesięcznie; zł 75 kwartalnie; zł 150 półrocznie z przesyłką pocztową.

PRENUMERATE PRZYJMUJĄ: W ŁODZI.

Dział prenumerat „Czytelnika” ul. Piotrkowska 62. tel. 180-74
Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 96. tel. 126-04
Księgarnia „Czytelnika” ul. Piotrkowska 147. tel. 126-65

NA PROWINCJI:

Wszystkie agencje pocztowe na konto PKO Oddz. w Łodzi Nr 815 — Kolportaż „Czytelnika”.

A przecież książka ta wprowadzając po raz pierwszy w naszej literaturze podręcznikarskiej tyle pożytków nowych a społecznie rewolucyjnych, jest jednocześnie przepojona głębokim patriotyzmem; zwłaszcza piękno różnych regionów ziemi polskiej i przyrody ojczyzny, bohaterka walka narodu z najazdem germańskim znalazły w niej wyraz wybitnie sugestywny.

Ogólne moje wrażenie, które chciałbym skonfrontować z opinią recenzenta „Kuznicy”, jest takie:

Książka nie oddaje już niewątpliwie sytuacji naszego państwa ze stycznia 1946 r. Jak wynika bowiem z przedmowy, oddano ją do druku w marcu 1945 r., w dobie toczącej się jeszcze wojny. Autorzy „zestawiali” (jak skrótnie nazywają pracę) swój podręcznik w Warszawie pozbawionej książek, komunikacji, poczty itp. Zresztą twórczość nowej Polski nie trysnęła jeszcze szerokim łozyskiem, istniało tylko „Odrodzenie” i kilka broszurek wydanych w Lublinie. Toteż nie widać w podręczniku jeszcze czytanek o ziemiach nowo przyłączonych (poza Mazurami), a reformę rolną prezentują pożytkę na ogół słabą, zaczerpniętą z ówczesnej prasy młodzieżowej. Również pozytywne osiągnięcia wsi przedwojennej nie znalazły pełnego wyrazu, prawdopodobnie z powodu trudnego dostępu do materiałów; lepiej przedstawia się rozmach klasy robotniczej. Podręcznik jest bezspornie dzieckiem swego czasu, tj. pełnej dynamiki epoki „burzy i naporu”, którą przeżywalimy w pierwszych miesiącach naszej drugiej niepodległości. Choć dziś nastał okres bardziej spokojnej, długofalowej pracy, wydaje się jednak, że spełnia on nadal swą budżeciarską misję. Na palcach policzyć można w nim pożytkę aktualno — publicystyczne, przynależną wieksość — to lepsza lub gorsza beletrystyka. Kłasyków polszczyzny reprezentują cenne utwory takich pisarzy, jak Krasiński, Mickiewicz,łowacki, Pol, Krasiński, Ujejski, Konopnicka, Orzeszkowa, Asnyk, Prus, Sienkiewicz, Świętochowski, Dygasiński, Tetmajer, Kasprzowicz, Reymont, Zeromski, Orkan, Strug, Wyspiański, Przybyszewski, Staff, Koryzak. Z pisarzy nowszych wyróżniają się: Morejnek, H. Górski, Wasilewska, Parandowski, Kuncewiczowa, Kruczkowski, Boguszewska, Z. Kossak, Zarembina, Broniewska, Hulka-Laskowska, Fiedler, Pruszyński, poeci: Tuwim, Iwaszkiewicz, Słonimski, Broniewski, Ważyk, Szymański, Szemplińska, Szewald i in.

Te idee, o które na płaszczyźnie poezji walczył w swej książce autorzy, nie straciły na ważności i aktualności. Wprost przeciwnie — są to niestety w dzisiejszej szkole polskiej wciąż jeszcze odkrywane, nieznane lądy. Autorzy powinni tylko w przyszłości poszerzyć materiał w oparciu o najnowszy dorobek literacki i zaszyć w ciągu roku przemiany, ale trzon książki należy utrzymać. Największą ich zasługą będzie, że na pięknym materiale beletrystycznym uwypukliły krzywdy dnia wczorajszego i walki z „możnymi tego świata”, że unaoecznił młodzieży, iż demokracja polska — to nie jakieś tam „nowinki” i „miazmaty” ze Wschodu, ale nasza najbardziej rdzenna tradycja narodowa. Są to pożytkę, które w naszej szkole wciąż jeszcze trzeba budować i umacniać.

Biała.

Andrzej Malinowski,

PRZEGLĄD PRASY

W sprawie artykułu „Jeszcze marksizm“

(Tygodnik Powszechny Nr 3)

Reserwując od dłuższego czasu tygodnik prowincjonalne, lub jakby słuszniej być może powiedzieć decentralizacji życia kulturalnego kraju, można je było określić regionalne, dochodzimy do wniosku, że tylko dwa z nich spełniają zadanie przez redakcję zadania: śląska „Odra“ i lubelski „Zdrój“. Śląsk wykazuje tendencję do tworzenia własnego samodzielnego życia kulturalnego. Gdy ogląda się śląskiego „Kocynędra“ lub niewątpliwie powstały tygodnik „Jutro“ – nie ma się oprócz wrażenia jak gdyby na skutek powstała kulturalna ghetto. Widać się nam, że „Odra“ właśnie, niejako sprzątając sprawy śląskie, regionalne i sprawy krajowe, ogólnie jest piśmie przy pomocy którego można by oddziaływać na tę tak ważną część kraju, na jest Śląsk.

„Odra“ jest w obecnej chwili poważniejszym piśmie literacko-społecznym Śląska, tak „Zdrój“ spełnia tę rolę na Lubelszczyźnie.

„Zdrój“, mimo silnych i świadomych tendencji regionalnych stara się jednakże współpracować z piśmiennictwem ogólnokrajowym. „Zdrój“ jak dotąd raczej zawodzi, daje się nam, że doboru materiału i autorów jest raczej przypadkowy i nie zawdzięczamy się zgodzić z tezą artykułu. W dalsze literatury pięknej obserwujemy poziom dużo niższy od tego, który mógłby reprezentować. Tym niemniej uważamy działalność „Zdroju“ za pożyteczną i namawialibyśmy redakcję do udzielania większej ilości miejsca sprawom ogólnokrajowym, aby kosztem nie zawsze interesującego działu poezji.

W Warszawie wychodzi „Dziś i Jutro“, prezentujące zwartą zdaje się grupę twórców skłonnych do uznania konieczności reform i „Tygodnik Warszawski“ – pismo św. Trójcy z których konwencji katolickiej dokonywują od czasu do czasu to sławę na nowo prawo maśkie, to znów na racjonalistyczne konwencje przebudowy ustroju społecznego. W nr 4 „Tygodnika Warszawskiego“ widujemy obszerny artykuł wstępujący St. Wyszyńskiego pt. „Naturalny ustrój społeczny“.

Wśród wielu prawd, które chętnie zostaną uznane i przez tych, którzy nie wyznają poglądów katolickich, np. „Człowiek nie jest Bogiem... Nie dać Bogiem, człowiek nie jest też tylko „nawozem“ społecznym...“ i tak dalej, sławimy następujące tezy, które ks. Wyszyński rozwija w swoim artykule: „Własne cele człowieka są dwojakie: doświadczenie i wieczność... Ustrój społeczny musi odzwierciedlać naturę człowieka...“ I wreszcie piękniejsza z tez: „Dokonały obraz społeczności ludzkiej widzimy w ciele ludzkim, po czym ks. Wyszyński podkreśla, że w ciele ludzkim, jest „wielkość człowieka“, bo tylko dzięki niej powstaje jedno „Ja“. Artykuł ks. Wyszyńskiego mówi o kulturalnym rozwoju społecznym, co chwilę powtarza się słowo „człowiek“, niestety „Wyszyński ani razu nie mówi o jakimś człowieku chodzi. Wydaje się nam, że w niesprecyzowaniu o jakimś człowieku, chodzi trudno ustalić dla niego ustrój, w którym ma egzystować. Inny bowiem ustrój będzie „naturalnym“ ustrojem „społecznym“ dla inżyniera, czy majstra fabrycznego, a inny dla ziemianina, którego „Ja“ uległy paracelacji. Załujemy bardzo, że katolicki publicysta nie potraktował głębiej i poważniej tak ciekawego tematu.

W Nr 4 „Dziś i jutro“ o problemach publicystyki katolickiej pisze Wojciech Trzaskowski. („O nową publicystykę katolicką“). Autor artykułu podkreśla konieczność zaktualizowania sił publicystyki katolickiej, żąda od niej stanowiska ofensywnego, gdyż „Żyjemy... w okresie, gdy nowy układ sił politycznych próbuje wyprężyć i wprowadzić w życie, w gruncie niekatolicki światopogląd“. Trzaskowski nie kryje się wcale z tym, że obecność niemożliwości zawarcia kompromisu światopoglądowego „Pozostaje tylko walka“. I w tej walce ważną rolę odegra publicystyka katolicka.

Niestety, jak dotychczas publicystyka katolicka roli swej nie spełnia. Konkretnym zarzutem, opartym o zdrowy rozsądek, katolicy dotychczas przeciwstawiali swojemu nielicznym wyjątkami tradycyjne i konwencjonalne, całkowicie niewłaściwe poglądy. Poza insynuowaniem obozowi lewicy, że jest „niepolski“, poza utwierdzeniem sobie monopolu na patriotyzm i polskość, sfery katolickie nie zrobiły nic dla przywrócenia dyskusji z marksistami na odpowiednim poziomie. Szkody wynikają z braku takiej dyskusji są niewątpliwie, zwłaszcza dla obozu katolickiego, w dalszym ciągu brnie po zabłędnych uliczkach i zaułkach Ciemnogrądu. W tym też artykule Kętrzyńskiego traktu-

jemy jako wyraz istotnych potrzeb obozu katolickiego w Polsce, któremu tak bardzo brak umiejętności polemicznych, niezbędnych w dyskusji. Zwracając się do „dowieść wszystkim wahającym się, że światopogląd katolicki jest w stanie dać wyczerpującą odpowiedź na wszystkie problemy dnia ludzi niepokojące, dać odpowiedź głębszą i pewniejszą niż dyalektyka przeciwników...“

Ostatni, numer (4) „Odrodzenia“ przynosi m. in. pierwszy akt sztuki Tadeusza Brezy i Stanisława Dygata „Zamach“, oraz obszerny artykuł Juliana Przybosa „Serce w rozterce czyli c rymie“.

Wydaje się nam, że artykuł Przybosa merytorycznie jest dziś nieuzasadniony. Walki o „biały wiersz“, o likwidację strofy czy rymu, które budziły może wiele zainteresowania wśród konseferów poezji w latach dwudziestych w Polsce, w tej chwili nikogo już nie ekscytują. Ciężar zagadnienia przesunął się z planu formalnego na plan dalszy, istotniejszy. Nie wydaje się nam ważne zagadnienie rymu w wierszu, ani nawet to jaki jest ten wiersz pod względem gatunku technicznego – interesuje nas natomiast zagadnienie: jaka ma być poezja? Doychczasowe wypowiedzi na ten temat poezji, praktyka poetycka w kraju i we Francji, wskazują wyraźnie na zanik sporów o technikę poetycką, więcej nawet – dla wielu nowoczesność techniki poetyckiej nie implikuje współczesności danej poezji. Ze stanowiska humanizmu godzimy się i akceptujemy każdą poezję mówiącą o człowieku i o sprawach ludzkich w sposób zgodny z naszym systemem myślenia, bez względu na to, czy wiersz będzie rymowany i rozbity na strofy, czy też rymów pozbawiony i nie zamknięty w tradycyjnej budowie stroficznej. Tak samo będziemy cenić nowatorskie poematy Eluarda jak i stylizowane na średniowieczne ballady wiersze Aragony („La Diane Francaise“) jak wreszcie nowe wiersze Cassou, zamknięte w tradycyjną formę sonetu. Trudno się zgodzić z tezą Przybosa, jakoby istniały rymy banalne. Istnieją zapewne banalne zdania i banalne wiersze z nich złożone, Heine pełen jest rymów banalnych, banalnych nawet we współczesnej mu poezji. W zależności od kontekstu banalny pozornie rym nabiera nowego wyrazu i dźwięczy zupełnie inaczej.

Przybosi uważa „rymowanie“ za dziecinę, cy wiek poezji i twierdzi, że klasyczne rymowanie nie ma przyszłości. Jest to oczywiście hipoteza, którą należało by poddać dyskusji, gdyby nie to, że dyskusje tego rodzaju są już dziś całkowicie anachroniczne i przyczyniłyby się do przedłużania prowincjonalnego w gruncie rzeczy sporu na temat „awangardy“ i „pas- seizmu“.

JAN HUSZCZA

PRZYWIĄZANIE DO TRADYCJI

Jak wiadomo, naród nasz cechuje silne przywiązanie do tradycji. Ot, choćby taka pożyteczna i godna wszelkiego poparcia akcja pomocy zimowej: zainicjowano ją brzo Boże nie we wrześniu, nie w październiku, nie w listopadzie, nawet nie w grudniu, a dopiero aż w styczniu!

Ze wzruszeniem przypominam sobie zdanie z własnego felietonu o Pomocy Zimowej, napisanego przed wojną:

„W gorący dzień lipca rozpoczęła w naszym miasteczku swoją działalność zeszłoroczna Pomoc Zimowa...“

HISTERYCZNA HISTORYCZNOŚĆ

Nigdy jeszcze nie przeżywałem tak ciekawych chwil jak w ostatnim okresie. Teraz właściwie wszystko, najdrobniejsze nawet przejawy życia publicznego poddaje się pod miano historyczności.

Nawet w Skromnej Miłosnej naliczyłem już 118 wydarzeń dziejowo-historycznych. Prawie co dzień miejscowy organ „Odbudowa Demokratyczna“ przynosi wiadomości pod takimi mniej więcej tytułami:

- 1) Historyczne oświadczenie wojty Kalasina w sprawie lemnicy.
- 2) Wiekopomne spotkanie Dłubały z Kopickim.
- 3) Dziejowa inauguracja koła samokształceniowego „Jutrzenka“.
- 4) Doniosła wypowiedź właściciela baru „Wolna Ojczyzna“ na temat pierwszej odrodzonej zimy...

Ostatnio w Skromnej Miłosnej zanotowano w ciągu jednego tylko tygodnia 97 wypadków opuchnięcia rąk od klaskania, w tym 38 wypadków śmiertelnych, gdyż połączonych z zatruciem trzaskami.

Wynalazca maści od opuchnięcia rąk mógłby zrobić w Polsce kokosy. Co do mnie, dysponuję nazwą maści: „Klaskopol...“

OSTROŻNIE Z GRZECZNYMI

Na jednym z krakowskich chodników obywatela kupiła torebkę.

Podkopywał jakiś uszuży młodziak. — Pani pozwoli, że podniosę?

Nie doczyta się w nim kto ciekawy argumentów przeciw argumentom ob. Szaffa. Książę Piwowarczyk powtarza po prostu swoje, już raz powiedziane. Oczywiście, jak ostrzegam, ks. Piwowarczyk i ob. Szaffa posługując się równoznaczalnym wyrazem „duch“ – nie postępują się równoznaczalnym. Autor omawianego artykułu skrętnie stara się nie zauważyć tego. Spór słowny bowiem usiłuje przybrać w szatę sporu merytorycznego. Typowo komediowe qui pro quo. Spór słowny prowadzić łatwo – a przy zachowaniu pozorów można zebrać zaszczyty uczestnictwa w odważnej, męskiej szermierce merytorycznej.

Nie więc dziwnego, że ks. Piwowarczyk usiłuje możliwie najbardziej efektywnymi chwytami uchylać się od proponowanej przeze mnie próby ściślejszego ustalenia pojęć, którymi operuje.

Twierdzi, że mądrzejsi ludzie i więksi uczeni niż ja i on nie potrafiliby tego zrobić. A nadto, że wszelka metodologia suponuje jakąś ontologię i prowadzi wprost, mówiąc po mojemu, do sporów słownych. Otóż – nie rozstrzygam w czym to drugie twierdzenie jest fałszywe. Nie ma ono nic do rzeczy.

Ustaleniu języka dyskusji ma według ks. Piwowarczyka przeszkadzać nawet mądrzejszym od nas ludziom to, że język marksisy notuje wyniki doświadczenia zewnętrznego, natomiast język katolickiego badacza nadto i wewnętrzne. I to jest cała argumentacja przeciwko mojemu stanowisku. Proszę Książę, zgódźmy się, że mimo wszystko w obu wypadkach będzie to ten sam fenomen: język. Będzie to tylko język, bez względu na to czy wyraża doświadczenie zewnętrzne czy wewnętrzne. Będzie się zatem w jednym i drugim wypadku nadawał do takiego samego opisu formalnego. Otóż język tego opisu – to ów metafizyczny, znany dziś dobrze badaczom teorii dedukcji i teorii innych nauk. (Wie o nim wiele i ojciec Rocheński!).

W proponowany przeze mnie sposób Książę byłby w stanie ściśle i niezależnie od różniących nas przeświadczeń zdefiniować w sposób zrozumiały dla trzeciej osoby swoje pojęcia. I w ten sposób poddać kontroli intersubiektywnej. Ale to było by groźne, odkrywało by ich pustkę. Bo posłuchajmy:

„P. Szaff jako marksista, odrzuca chrześcijański pogląd na ducha. „Naukowa obserwacja – pisze – wykazuje nam, że duch nie występuje bez materii i że jest związany z wysoko zorganizowaną formą istnienia materii (związek życia z białkiem, myśli z czynnością mózgu)“. Naukowa obserwacja wykazuje...“ – pisze p. Szaff. Lecz o jakiej nauce myśli – o biologii, o fizyce, o chemii? Cóż one mogą powiedzieć o czymś, co leży poza obszarem ich badań? O ducha trzeba pytać te nauki, które się duchem zajmują – i te, które się zaj-

mują całym człowiekiem, istotą psychiczną, a nie nam powiedzą, że jest istotowa różnica między ciałem a duszą i że skutkiem tego materialne ciało nie może wytworzyć duchowych produktów. Z czego wniosek: duch nie jest produktem materii.

Przecież w tym ujęciu – to jest zwykłe nadużycie myślowe. Naukowa obserwacja u Szaffa była określona przez rygor właściwy wszelkiemu doświadczeniu empirycznemu, które ob. Szaff akcentował. Książę zaś na myśli psychologię? typologię ducha Sprangera? N. Hartmanna? Jaka to nauka zajmuje się całym człowiekiem? Co znaczy duch w jej języku? Proszę nam wyraźnie powiedzieć jakie sprawdziany potwierdzają prawdziwość tej nieoczekiwanej tezy, że jest istotowa różnica między ciałem a duszą? Gdy otrzymamy choć tę ostatnią odpowiedź – wykażemy, że to jest zdanie pozanaukowe! Żadna nowoczesna nauka nie ma wespole swych twierdzeń prawdziwych, sensownych i sprawdzalnych takiego zdania. Uchylanie się od naukowej dyskusji na rzecz publicystycznych efektów jest brakiem odwagi, wynikającym z poczucia słabości swego stanowiska, poczucia jego nieodporności wobec wymagań nowoczesnej ścisłości naukowej.

Nowoczesna psychologia ukształtowała się na fundamencie przezwyciężenia behaviorizmu i koncepcji Pawłowa oraz odrzucenia fałszywych prób „psychologii ducha“ (patrz J. Kraft „Unmöglichkeit der Geisteswissenschaften“ oraz „Vom Husserl zu Heidegger“).

Właściwym i przydatnym dla naszego sporu wyrazem z punktu widzenia naukowej poprawności tej nowej psychologii są np. prace Rubinsteina, będące wyzyskaniem słynnych doświadczeń Köhlera i w ogóle eksperymentów tzw. „psychologii postaci“. Otóż wyniki tej psychologii, budzącej zaufanie naukowe, pozwalają opierać pojęciem świadomości – „duchowego“ czynnika w człowieku – zgodnie z całością założeń materialistycznego stanowiska.

Toteż ja nie poprowadzę „merytorycznej“ dyskusji o materii. Będą tylko nadal żądał jasnego, precyzyjnego, naukowego formułowania myśli. Bo dyskutującemu chce wykazać – nie, że jego myśl niezgodna jest z marksizmem. Ale, że jest niezgodna z prawdą naukową, że wyniki nauk empirycznych jej przeczą. Jak dotąd wykazywałem, że sformułowania filozoficzne ks. Piwowarczyka są poniżej wymagań naukowej ścisłości formułowań. Nie są fałszywe ani prawdziwe. Nie odpowiadają jeszcze nawet naukowemu rygorom sensowności, jednoznaczności. I od tego nikomu nie uda się uchylć. Spory filozoficzne w Polsce będą prowadzone w naukowy sposób, kodeks naukowej moralności będzie obowiązywał piszących, bo my z „Kuźnicy“ na inne złe obyczaje nie pozwolimy.

St. Żółkiewski.

Notatki

SZKOLNICTWO ARTYSTYCZNE

Bardzo cieszę się z rozwoju szkolnictwa. Zwracając uwagę na to, że szkolnictwo artystyczne, ale budzi we mnie wątpliwości sła rozmachu: prawie w każdej miejscowości istnieje co najmniej Instytut Muzyczny, Wyższe Kursy Reżyserskie i Akademia Malarstwa. Ten rozwój ilościowy szkolnictwa artystycznego każe się trwożyć o jakość.

Czy czasem tego rodzaju akademie malarstwa w charakterze swoim nie są zbliżone do akademii okolicznościowych? Moja sceptyczna wyobraźnia rysuje mi genezę nie jednej takiej akademii...

Punktem wyjścia jest urzecz maksyma, czyli złota myśl:

„Najtrudniejszą rzeczą w sztuce jest zdobyć wiadra oliwy, wiadra pokostu i paru pędzli...“

Ale znalazło się wiadro oliwy, wiadro pokostu i pędzle z trawy morskiej. Wobec tego dalszy ciąg łatwo wyobrazić:

— Feluś — zwraca się właściciel tych skarbow do przyjaciela — mam oliwę i pokost, podług już teraz nikt nie maluje, ze względu na spóźnioną porę roku, więc co z tym fan'em zrobić?

Feluś (po długim namyśle):
— Wiesz, brachu, załóżmy akademię!
— Tresowania piesków salonowych?
— Nie! Akademię sztuk pięknych, taką niby uczelnia z rektorem i dziekanami, z absolwentami i inauguracją z docentami i immatrykulacją...

— A skąd weźmiemy dziekanów? nasz dziekan wpatuje się w ziemię...
— Frajer! Sami zamianujemy!
— Dobra, daj pyska...

Oczywiście, ujałem to niezwykle przesadnie. Ale mnie naprawdę niepokoją te zbyt łatwo rodzące się szkoły artystyczne.

Co do mnie, gotów jestem przysiąc, iż gdzieś (może w okolicy Białogostku) istnieją różne kursy poetyckie.

Bo niby skąd w takim razie te niedobre wiersze, które drukuje „Odrodzenie“?

N O T Y

ODWOLANIE

Redakcyjny karabin maszynowy dał serię na ślepo. Jawny dowód popłochu i dezorientacji.

„Cóż nam poczyć ze szaloną drukarnią?” pytał rkm, przerażony ilością błędów w ostatnim numerze „Kuźnicy”. Otóż nie tu nie mają do rzeczy drukarze. To redakcja techniczna pisma ponosi całą winę. Obywateli zwróć, linotypistów, drukarzy na tym miejscu za to nieścisłe sformułowanie przepraszamy.

Redakcja

JESZCZE O PEWNYM ROZPORZĄDZENIU

W swoim czasie „Dziennik Łódzki” na skutek otrzymanego od grona uczniów pewnej szkoły listu zajął się sprawą opłaty za dwórkę w szkole. Na skutek tej notatki Kuratorium Okręgu Szkolnego Łódzkiego nadesłało sprostowanie, że to oficjalnie, że to na podstawie takiego i takiego rozporządzenia Ministerstwa Oświaty i — sprawa ucihła. Ucihła oczywiście na łamach „Dziennika Łódzkiego” — nie ucihła bynajmniej w szkołach. W szkołach nadal za stonien niedostateczny uczeń musi uiścić opłatę w sumie złotych 300.— (trzysta). I wtedy jest w porządku. W każdym razie jest w porządku z rozporządzeniem numer ten i ten.

Zastanówmy się nad tym. Szkoła jest de nomine bezpłatna. Pisz „de nomine”, bo de facto w wielu szkołach są pobierane najrozmaitsze opłaty w różnych wysokościach na różne cele i pod różnymi nazwami. Pisz „de nomine”, bo istnienie opłat za niedostateczną ocenę unicestwia właściwie całkowicie bezpłatność szkoły. Ale i to nie jest istotne. Ważne jest coś innego. Do szkół uczęszczają przeważnie uczniowie wiekiem późniejsi, w większej części pracownicy zawodowi, w pozostałej części synowie i córki robotników. Jeżeli ktoś jest niezdolny, to nie pomoże i kara tysięcy złotych. Po prostu — przebrnie lub nie. Taki uczeń nie zasili i tak kadrów polskiej inteligencji. Opłata trzystu złotych nie wpłynie bynajmniej na wzrost tego zdolności, a nie sądzi, by wpłynęła pozytywnie na nastawienie do władz szkolnych. Jeżeli ktoś jest leniem, to nie tyle groźba zapłacenia kar, ile raczej możliwość pozostania na drugi rok zachęca do pracy. Tak było w każdym razie za moich czasów, we wcale niedalekiej przeszłości.

Ale są całe rzesze uczniów, które swoje „dwórki” zawdzięczają brakom warunków do nauki! Państwo nasze nie daje jeszcze wszystkim uczącym się możliwości mieszkaniowych i materialnych do kontynuowania nauki. Prawda, że dać jeszcze nie mogło. Ale przecież czynnik materialny, który tego rodzaju rozporządzenia wydała powinna wziąć pod uwagę, że dzieci robotników, żyjąc w sygnacji wcale nie nadzwyczajnie, nieraz same pracujące, tym właśnie warunkom zawdzięczają niejedną dwórkę! I że taki wydatek, choć wierz, że rzadki, jest poważnym obciążeniem budżetu robotniczego!

I wreszcie — że świadczyło by o nauczycielstwie, gdyby same nie umiało podciągnąć uczniów i czekało dopiero na tego rodzaju pomoc Ministerstwa.

A na zakończenie pytanie: czy dużo z wpływanych kar przeznaczono na subsydia dla uczniów niezdolnych, którym ich sytuacja materialna uniemożliwia naukę?

mm

OGRODNIK Z NORYMBERGI

Agencja Reutersa podaje tekst listu papieża do episkopatu niemieckiego. Papież rozdziela szaty pontyfikalne nad losem Niemców, zła szczerza tych, którzy zamieszkują wschodnie ziemie byłej Rzeszy.

„Znamy ich twarzą dole — czytamy w liście. — Mamy przed oczami straszliwie zniszczenia. Szczególnie ubolewamy nad ciężką dolą tak wielu kobiet i dziewcząt w Niemczech. Wszystko to są efekty wojny, spowodowane bezlitosną wojną. Wojna ta szalała zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie Europy, w Afryce i w Azji, ale szczególnie boleśnie dotknęła nas Wasze cierpienia, albowiem między Wami spędziłem tyle lat owocnej pracy”.

Papież uważa swoją pracę w Niemczech za owocną. „Po owocach poznać go...”

mj

SZCZYT BARBARZYŃSTWA

W kinach naszych wyświetlają obecnie nowy film angielski „Nieuchwytny Smith”. Angliki starają się w nim pokazać okrucieństwo i barbarzyństwo wódzów hitlerowskich. Drą gestapowcy przed swoim okrutnym szefem. Boja się wejść do jego kancelarii. W końcu nieśmiało wchodzi. Ogromny grube rozpartki za biurkiem, zatopiony jest w lekturze dowcipów angielskich. Straszni gestapowcy stoją na baczność, boją się głośno odechnąć. Rozwścieczony gruby czyta im głośno dowcipy angielskie. Nagle wstaje, uderza pięścią w stół i wrzeszczy: „Nie rozumiem! nie nie rozumiem!” Oto szczyt barbarzyństwa: gestapowcy nie są zdolni zrozumieć angielskich dowcipów. Nie śmieją się! Ten film na pewno Anglików podniecił do wojny.

ik

MÓWCIE, WENEDZI, KTO O WAS BREDZI

Państwowy Teatr Polski w Warszawie pod dyktando Arnolda Szyfmana rozpoczął swoją działalność od wystawienia „Lilli Wenedy”. Z wielkim zaciekawieniem przeglądaliśmy prasę warszawską. Do czego sięgnąć, jeśli nie do sprawozdania Jana Nepomucena Millera w „Robotniku”. Siegamy i oto:

„Słowacki (obok Goszczyńskiego) stał się w naszej poezji rzecznikiem zdeptyanych praw ludzkich i swoistych wenedyjskich pierwiastków psychiki polskiej.

Oparł się w „Lilli” na teorię najazdowego pochodzenia państwa polskiego, stwierdzając, że Lechici, którzy dali początek szlachcie polskiej, nie są wcale najwłaściwszymi przedstawicielami narodu. Są raczej elementem obcym, napływowym. Ze właściwych, prapolskich pierwiastków psychiki narodowej należy szukać w pokonanych przez szlachtę Wenedach, w ludzkiej polskości.

„Nie chodzi o historyczne uzasadnienie tych tez, lecz o ich użytkową rolę”.

Rozumiemy, nie chodzi o prawdę historyczną, teza jest dobra, skoro może być pożyteczna. Rozumiemy i przypominamy sobie — po tamtej wojnie J.N. Miller także przygotował pożywkę z amerykańskiego pragmatyzmu. Czy po każdej wojnie mamy zaczynać od tego samego? Ostateczne konsekwencje zostały już z pragmatyzmu wyciągnięte. Niemcy kopili sobie z prawdy historycznej, woleli posługiwać się mitem rasy germańskiej. To się skończyło. A teraz my będziemy się wenedzić.

Prosimy, błagamy J.N. Millera, aby się jednak zastanowił, czy to wypada po drugiej wojnie karmić mnił socjalistyczną tym samym pragmatyzmem, ale on nas nie słucha i pisze dalej:

„W chwili obecnej więc w „Lilli” możemy się dopatrzyć niemałej ilości zadzierzgnięć o Polskę współczesną, która właśnie po tysiącletniej społecznej niewoli odradza się w zapomnianym przez wieki kształcie wenedyjskim, wznosząc gmach życia państwowego i społecznego, opartego na współpracy robotnika i chłopu, wyzwolonych z pet ucisku kapitalistycznego fabrykanta i ziemianina. Przeżywamy więc obecnie w Polsce okres odrodzenia i realizacji kultury wenedyjskiej.

Nie mając jednak miejsca na razie na rozwinięcie tej analogii, przesuwamy ją do chwili sposobniejszej”.

Rozumiemy — w imię kultury wenedyjskiej do urn wyborczych!

Prosimy, błagamy J.N. Millera — nie trzeba, nie trzeba, to wcale nie jest konieczne do utrzymania współpracy robotnika i chłopu, do odparcia zakusów kapitalistycznego fabrykanta i ziemianina, Demokracja i tak zwycięży, bośmy weszli już w nową epokę, w epokę demokratycznego Szyfmana!

rwc

MEDALE

W rocznicę wyzwolenia Łodzi odznaczono szereg osób Krzyżem Zasługi. Mimo wszystkich głosów przeciw odnalezieniu i medalom, mają one niezaprzeczony wpływ i znaczenie. Dlatego też, choć na pewno nie pracowali dla odnalezienia, dobrze się stało, że dostali je ci, którzy na nie zasłużyli. Niech będzie im to podjęta w dalszej pracy. Ale, ale... Jak za dawnych, „dobrych” czasów medale złote, których było oczywiście mniej, otrzymali inżynierowie, kierownicy, dyrektorzy, medale srebrne — technicy, majstrów, a robotnicy — medale brązowe. Czy rzeczywiście tak mało robotników swą ofiarą i pełną poświęcenia pracą zasłużyło na złoty lub srebrny Krzyż Zasługi?

mm

RASIŚCI W BRUKOWCU

Od pewnego czasu Łódź robotnicza ma nową gazetę, brukowiec pn. „Express”, który stara się zakasać wszelkie „Expressy” z czasów sanacyjnych. „Express” przejął w szedzie po swoich poprzednikach cały korzec anegdot o braciach, siostkach i ciotkach siamskich, ale nie tylko tymi sensacjami zaścianka mózgi robotnicze. Dowiadujemy się z „Expressu” (Nr 11), że niejaki Marian Szyfman vel Pływacki vel Grandynsz stanął przed sądem oskarżony o to, że, udając Niemca podczas okupacji, znechęcał się nad Polakami. Przy tej okazji niejaki „e. k.” opisuje żywot oskarżonego z takimi oto szczegółami i w takiej oto pikantnej terminologii:

„Ponieważ Szyfman jest z pochodzenia niemieckim (niechcisz — przypisek nasz), obawiając się prześladowań, uciekł w 1939 do Lwowa...”

„Po czym tłumny drukiem: „Po wkroczeniu Niemców do Lwowa udowodnił mi (genrifi — przypisek nasz) przy badaniu lekarskim jego niearwiskie pochodzenie...”

A dalej:

„... zostaje wysłany bez oględzin lekarskich jako Grandynsz. Lotysz z pochodzenia, do Smoleńska”.

Zapytujemy: czy babka pana „e. k.” po kadzieli należała do rasy celtyckiej - negroidalnej czy lapońsko - słowiańskiej? Czy przy badaniu lekarskim udowodnił panu „e. k.”, że jest matolem (zaznaczamy, że jest to ścisły termin z medycyny sądowej i że bardzo wygodnie być matolem, bo zwalnia to z odpowiedzialności za czyn i słowa), a

jeśli nie udowodnił, to dlaczego ten pan pisze w „Expressie”? Dlaczego fuhrer „Expressu” drukuje go bez oględzin lekarskich jego mózgu i moczu? I wreszcie — co ten rasita robi w Polsce, kiedy od dawna czekał na niego w Walhalli?

rdc

ZE ŚWIATA I Z KRAJU

W Nr. 7 „Tygodnika Warszawskiego” w rubryce „Więści ze świata” znajdujemy min. taką notatkę:

„Czechosłowacja. Jak podaje prasa brytyjska, biskup Spisza, ks. Woitaszek oraz biskup Buzalka wciąż są internowani przez władze czechosłowackie, mimo ogłoszenia, że zostali zwolnieni. Również i 120 księży słowackich dotychczas pozostałe w wzięciu”.

Nie wiemy dokładnie, jakie powody skłaniają Rząd czechosłowacki do internowania słowackich księży i biskupów, wolno nam jednak przypuszczać, że sprawa ta ma pewien związek z faktem, iż promotorem faszyzmu w Słowacji i „führerem” tego kraju w czasach hitlerowskiego nad nim patronatu był właśnie katolicki prałat, osławiony ksiądz Tiso.

Czyżby redaktor rubryki „Więści ze świata” nie był poinformowany o tym, co się dzieło tuż — tuż na granic Polski w niedawnym okresie 1939 — 1945? A przecież nasi sąsiedzi — to chyba „świat” najbliższy...

W tymże numerze „Tygodnika Warszawskiego” ukazało się następujące ogłoszenie i zarazem reklama handlowa:

„Katechizm najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży (86 stron, wydanie 5 z r. 1945, rachunek sumienia, ministrantura, różaniec — cena 10 zł), wysła w paczkach za pobraniem lub po włączeniu na PKO. Nr konta w Łodzi VII - 608 Ks. dr. Wm. Heleńowski, Gostynin, woj. Warszawskie”.

Okres wojny i okupacji wywołał, jak wiadomo, zatrważający wzrost skłonności i zainteresowań handlowych w szerokiej warstwach społeczeństwa polskiego. Powyższe ogłoszenie jest dowodem, że duch merkantylizmu przenikał nawet do środowisk, dla których to polecie powinno być — czystą abstrakcją.

bd

KOCHAMY SIĘ W TRADYCJI

W wagonie służbowym pociągu Nr. 236, który odszedł z Krakowa do Łodzi dn. 10 b.m. o godz. 21,20, za szkiełkiem, aby broń Boże nikt nie mógł zniszczyć do tej pory, pieczętowane konserwowany, zachował się następujący napis:

„Die Reisenden werden gebeten, bei Überfüllung ihre sitzplätze stehenden Volksgenossen zeitweilig zur Verfügung zu stellen”, co po polsku znaczy mniej więcej: „Uprasza się podróżnych, by ustępować swa miejsca siedzące stojącym folksgenossom czasowo do dyspozycji”.

O wiszących miejscach w rozporządzeniu nie ma mowy. Ponieważ tylko takie miejsca obecni podróżni bez żadnego żalu mogą oddać do dyspozycji folksgenossom, z NSDAP i to nawet nie czasowo, a na stałe, napis jest nieco nieaktualny.

Obywatele kolejarze z PKP, czy nie wystarczą wam dwujęzyczne napisy. Nicht spucken — nie pluć na podłogę, które również znajdują się w tymże wagonie służbowym?

Sprawa jest błaża, tylko pozornie. Słady niemieckich czasów już wreszcie zewsząd usunąć.

sp

ZAMIAST RECENZJI

„Duch języka sprawia, że podświadomie używamy odpowiednich form, że uwzględniamy wszystkie właściwości, powstałe w ciągu wieków”.

Skasować zatem naukę języka w szkole! Cóż to bowiem za martnotrawstwo czasu. Wystarczy nawiązać kontakt z duchami, a osobliwie z duchem języka i już wszystko pójdzie gładko, podświadomie, cudownie! I nie tylko będziemy „używać odpowiednich form”, ale nawet jednym błyskiem umysłu obejmujemy „wszystkie właściwości powstałe w ciągu wieków”. Od Bogurodzicy począwszy...

Cóż to za dywersja pod adresem szkolnictwa?

Oczom nie chce się wierzyć: jest to czasopismo poświęcone... „praktyce wychowania i nauczania”, organ Wydawnictwa Pedagogicznego Związku Nauczycielstwa Polskiego. Łazy po wojnie numer Pracy szkolnej IP.XVIII—1945 — 6, czarno na białym: s. 24, wiersz 4-ty i 5-ty od dołu.

Było by niejaka przesadą twierdzić, że autor artykułu już teraz zaleca wprowadzenie seansów spirytystycznych w praktyce szkolnej zamiast nauczania języka. Mimo nadprzy-

rodzonej wiedzy zesłanej nam cudowną ga przez ducha języka, nauczyciel, czy powinien kierować nauczaniem języka, ba duchy duchami — ale trzeba, żeby poza język „żył, rósł i dojrzewał”. Język bowiem jest obecnie „okaleczony i ciężki jak wszyscy po przebytej wojnie. Wymaga leczenia i pieczołowitej troski” (s. 26 w. 18—20 góry).

Nie wierzyć? — no to posłuchajcie tym myśli młody poeta Roman Sadowski: „Wiem, czy jeszcze umiem pisać... ręka stała się w czarnym znoju”.

A Jastrun jeszcze wyraźniej: „Mowa ciężka i gesta — jak gaz. Niewidzialnie puka wszystko, jak rozruszać to dławiające rze?”.

Takimi przykładami posługuje się autor artykułu.

Kpimy z nauki, kpimy z pedagogiki, kpimy z poezji. Nie wiadomo co tu bardziej dziwić: uczoną dychologię autorki, czy komyśność Redakcji, która artykuł ten zaślęła i to jeszcze bezpośrednio po grunto i rzeczowej ocenie nowego programu gramiki w szkole powszechnej, dokonanej przez bitnego znawcę przedmiotu Zenona Klewiewicza.

W słowie wstępnym Redakcja obawia czy sprosta zadaniu i czy zdola osiągnąć nie poważne jak przed wojną wyniki. Jak okazuje, obawy te są więcej niż uzasadnione.

W MYŚL OBOWIĄZUJĄCYCH PRZEPISÓW PRASOWYCH

W Nr 27 warszawskiej „Rzeczypospolitej” ukazał się następujący list: Warszawa, dnia 26 stycznia 1946 r.

Do

Redakcji „Rzeczypospolitej” w miejsc

W związku z felietonem pt. „Na marginesie — Przyjaciel Ludu czyli spółka” autor zamieszczonym na łamach „Rzeczypospolitej” w Nr 25-y z dnia 25 stycznia br. w obowiązujących przepisach prasowych pro o umieszczenie następującego sprostowania.

Nieprawdą jest, jakoby Naczelnikiem i d. j. Kultury i Sztuki Zarządu m. st. Warszawy jest ob. Henryk Ładosz-Smuga, a minist. prawdą jest, że Naczelnikiem Wydz. Kultury i Sztuki m. st. Warszawy jest ob. nina Dorantowa.

Nieprawdą jest, że ob. Henryk Ładosz-Smuga, Szef Resorstu Kultury, Oświaty i P. pagandy Zarządu m. st. Warszawy, zaprosował Miejskim Teatrom Dramatycznym i nie sztuką H. Ibsena „Wróg Ludu”, natomiast prawdą jest, że ta sztuka została włączona repertuaru przez Dyrekcję Miejskich Teatrów Dramatycznych za zgodą Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Nieprawdą jest, że ob. Henryk Ładosz-Smuga przerobił sztukę „Wróg Ludu” H. Ibsena, natomiast prawdą jest, że kierownictwo literackie Teatrów Miejskich poczyniło do szczerne i ogólnie przyjęte skreślenia w sztuce, które nie zmieniają w niczym ani w treści, ani treści sztuki, co zostało stwierdzone wobec przedstawicieli prasy przez specjalną Komisję Ministerstwa Kultury i Sztuki w skład której wchodził ob. Wicemin. Leon Kruczkowski i kierowniczka Sekcji i perytuarowej tegoż Ministerstwa, ob. Pado.

Nieprawdą jest, że ob. Henryk Ładosz-Smuga jest zwany popularnie „Upiorem Ratu Warszawskiego”, natomiast prawdą jest, tak dotąd twierdził zaledwie dwóch lud Adam Ważyk (art. w Kuźnicy Nr 3 z dn. 10. 11.) i autor felietonu wyżej wymienion ob. Wik.

Nieprawdą jest, że w sztuce Ibsena nał dokonał zmiany tytułu z „Wróg Ludu” „Przyjaciel Ludu”, ponieważ nie zachodzi potrzeba zmiany tytułu tam, gdzie nie zachodzi zmiana treści utworu. Nadto porównanie Grzymy-Siedleckiego z Ibsenem i „Wróg Ludu” ze „Spadkobiercą” jest niewłaściwe, niewłaściwe zarówno w odniesieniu do treści społecznej obu utworów, jak i waleńców i prezentowanych przez obu pisarzy. Będąc chlebny dla Grzymy-Siedleckiego, nie należy stawiać Ibsena w szeregu pisarzy o denejch reakcyjnych, gdy tymczasem po szczerne wiadomo, że Henryk Ibsen był swoim czasie humanistą przeciw istniejącemu podówczas porządkowi społecznemu, znalazł swój wyraz i w sztuce „Wróg Ludu” Wice-przewodniczący.

Rady Narodowej m. st. Warszawy Wiktor Grodzicki.

Ze smutkiem, z zazdrością, z podziwem przeczytałem to „sprostowanie”. Jest to bezużyteczna nałpysza felieton, jaki przeczytałem w ciągu ostatnich miesięcy. Co za pasja są rzeczna, jakie bogactwo faktów, co za wspaniałe wycienowanie szczegółów. Nikomu z nie udało się dotąd w równie precyzyjny sposób przy całej udanej nabożności stylu składować tak gruntownie urzędników kultury. Miejsami jest Grodzicki nawet lepszy. Awdzelenki! Zwróćcie tylko uwagę na us o „Upiorze”. Witamy nowego autora Jan Koll

CENY OGŁOSZEŃ: F. lumina zł 60.000;

1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000;

1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000;

Drobne ogłoszenia 25 zł 1 mm na 1 szpalę.

Redaguje Zespół „Kuźnicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski. Redaktor naczelny przyjmuje wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D-6533

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel 205-4

Wydawca: Zespół „Kuźnicy”. — Drukarnia

Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik” Nr. 4, ul. Żwirki 2.